Nr. 19. Warszawa, dnia 7 Maja (25 Kwietnia) 1892 r. Rok XII

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2**. k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

PRAWA POLITYCZNE KOBIET.

Pewne procesy rozwoju cywilizacyi mają przebieg tak mizerny, że zaledwie można uwierzyć, że działające w nich czynniki nie są pierwiastkami najbezmyślniejszej farsy. Istnieją kwestye wątpliwe teoretycznie lub praktycznie, ale istnieją takie, których rozwiązanie w dalszej lub bliższej przyszłości jest z góry wiadome, a mimo to pozostają długo nierozstrzygniętemi. Ludzie i stronnictwa targują się o to, co przyjść musi, kładą się na drodze postępu, powstrzymują go, walczą, ściągają najrozmaitsze wykręty, aby tylko nie dopuścić tego, co jest nieuniknione. Jeden właśnie z takich dramato-komicznych aktów rozegrał się świeżo w parlamencie angielskim z powodu wniosku, żądającego przyznania kobietom praw politycznych. Przeciw temu głosowi oświadczyli się głównie whigowie, którym taką postawę kazał zająć Gladstone. Usprawiedliwił on swój opór w osobnym artykule, ale pomimo całej szerokości kredytu politycznego, z którego korzysta ten mąż stanu z wielce przestarzałym mózgiem, nie warto rozbierać jego wytartych argumentów. Są między nimi i obawy, i zdawkowe sentymenty, i mdło słodkawe grzeczności, i wyniosłe impertynencye. Projekt upadł, ale czy on znowu nie powróci i czy kiedyś nie zostanie przyjęty? Trudno o tem wątpić. Wieczna małoletność kobiety tak w tym względzie, jak w wielu innych, prędzej czy później będzie zniesiona. Rozumie się nie chodziło tym razem o prawa czynne, o dopuszczenie kobiet do sprawowania godności i urzędów, ale o prawo bierne, o udział w wyborach. Pojmujemy logikę, wyłączającą kobiety od życia politycznego tam, gdzie od niego wyłączeni są również mężczyzni, nieposiadający pewnej miary wykształcenia lub stanowiska. Ale jak pojąć takie ograniczenie w krajach konstytucyjnych, których ustrój jest oparty na zasadzie głosowania powszechnego — co więcej — których berło królewskie (jak w Anglii) spoczywa w ręku kobiety? Przedstawmy sobie tę skamieniałość cywilizacyjną w stosunkach życiowych. Kobieta posiada majątek ziemski, prowadzi gospodarstwo, zarządza samodzielnie rozlicznymi interesami — i nie wolno jej głosować na kandydata do rady gminnej lub parlamentu, podczas gdy każdy jej parobek używa tego prawa. Kobieta kieruje fabryką, przedsiębiorstwem handlowem, dokonywa wielu bardzo złożonych działań — nie ma jednak głosu w najskromniejszych wyborach, podczas gdy każdy jej subjekt wybiera prawodawców. Kobieta jest uczoną, poetką, artystką — mimo to pozostaje politycznie ubezwłasnowolnioną, podczas gdy jej lokaj korzysta z pełni praw politycznych. Czy to nie są dziwolągi? Naiwnym, wysoce naiwnym trzeba być na to, ażeby szczerze wierzyć, że taki stan rzeczy utrzyma się stale, zwłaszcza wobec zanikającej coraz bardziej różnicy wykształcenia i uzdolnienia między obu płciami. Nawet odsuwanie reformy do „lepszych czasów“ twierdzeniem, że dziś procent kobiet samodzielnych jest jeszcze zbyt mały, należy już do sztuczek bardzo zużytych. Bo jakąż samodzielność, jakąż dojrzałość umysłową posiadają te masy wyborców męzkich, które lecą wskazaną drogą za nakazem pracodawców lub zwierzchników, za kuflami piwa, zwojami kiełbasy lub trzosem agentów, kupujących ich głosy? Wybory w państwach konstytucyjnych coraz widoczniej zamieniają się na handel i walkę interesów, a jeżeli kobieta umie lokować swoje kapitały, sprzedawać pszenicę lub mydło, to potrafi również załatwiać tranzakcye wyborcze. Minęły, dawno minęły te czasy, kiedy radę gminną lub parlament uważano za zgromadzenie „najlepszych,“ wyłonione z ogółu rozumną i swobodną wolą obywateli kraju; obecnie są to zwycięzcy licytanci obietnicami lub pieniędzmi kupowanych głosów. Ci potrzebują opieki państwa nad winnicami ci — nad zbożem, ci — nad rudą cynkową, ci — nad jedwabiem, więc powołują kogoś na posła pod warunkiem, że będzie bronił ich interesów. Gdy zaś nie można pogodzić sprzecznych żądań, bogaty lord lub fabrykant obładowywa osła złotem, jedzie na nim do upatrzonego okręgu, buduje namioty, wytacza beczki z piwem i winem, rozkłada na stołach pieczone woły i barany, karmi i poi szanownych obywateli, dopóki ci nie uznają w nim dostatecznej mądrości do stanowienia praw. Zarówno nabywać, jak sprzedawać swe głosy potrafiłyby również kobiety — i może nawet mniejszym kosztem. Jeden tylko wzgląd — którym Gladstonowie się nie posługują — mógłby nieco zaważyć na szali przeciwko otworzeniu niewiastom areny politycznej, mianowicie ten, że ona by je moralnie znieprawiła i tym sposobem skażenie, które dziś ogranicza się do rodu męzkiego, rozpostarłoby się na cały ogół społeczeństwa. Jeżeli więc o to chodzi, ażeby nie pomnażać liczby handlarzów dobra powszechnego, rzeczników egoizmu, krętaczów, sprzedajnych charakterów — najzupełniej słuszne jest usuwanie kobiet od działalności politycznej.

Tylko niech ci, którzy im tego wzbraniają, szczerze przyznają się do swych grzechów.

REWIZYA KONSTYTUCYI FRANCUSKIEJ.

Obecnie, gdy skrajna lewica znowu uorganizowała się jako odrębne stronnictwo, kwestya rewizyi staje się palącą. Istotnie, dopóki bulanzyzm był groźny, radykaliści mieli możność przykrycia swego niedbalstwa bardzo zręcznym pozorem „obrony Rzeczpospolitej.“ Teraz żadne wykręty już pomódz im nie mogą i jakaś, choćby najmniejsza zmiana przed wyborami musi być zdobyta, gdyż inaczej odpowiedzialność za niedotrzymane obietnice i zawiedzione nadzieje byłaby zbyt dotkliwa. Inne wszakże czynniki parlamentu nie są tak pochopne do reformy. Zresztą nawet oportuniści— w znacznej części — przyznają, iż konstytucya z r. 1875 nie jest doskonała; sądzą wszakże, że, otworzywszy wrota rewizyi, puści się wodę na młyn monarchistów, którzy przez te wrota zechcą wprowadzić króla lub cesarza. „Czekajmy lepszych czasów“— oto hasło umiarkowanych, hasło, które jest nie tylko omyłką logiczną, ale zarazem i wybiegiem, monarchiści bowiem nigdy na konstytucyę republikańską zgodzić się nie mogą, ci więc, co twierdzą: „przeprowadzimy rewizyę, gdy monarchiści jej żądać nie będą,“ znajdują się świadomie lub bezwiednie w błędnem kole. Jeżeli konstytucya jest zła, to dalsze czekanie może tylko zło to powiększyć, a nawet doprowadzić do głębokiego nadwyrężenia całej siły maszyny państwowej i wzgląd na monarchistów w żaden sposób zaważyć tu nie może. Niebezpieczeństwo narażenia samej Rzeczpospolitej czy to przez lud, w plebiscycie, którego monarchiści wymagają dla dokonania rewizyi, czy to w specyalnie na ten cel zwołanej konstytuancie, jak tego chcą radykaliści — jest urojone. Prawo z 15-go sierpnia 1884 r., przyjęte przez ówczesny kongres Izb, orzeka, iż forma republikańska rządu nie może być poddana nawet roztrząsaniu, chociażby pod pozorem rewizyi konstytucyjnej. Tę ostatnią przeprowadziłaby specyalna konstytuanta, ale Izby nie przestałyby jednocześnie istnieć i one odrazu odrzuciłyby, jako nielegalną, wszelką myśl zebrania ustawodawczego, któreby dotyczyło zasadniczej formy ustroju państwowego. Jeżeli więc rewizya prawna jest możliwa, byłoby dziecińtwem odrzucać ją pod pozorem, iż kto inny dąży do bezprawnej i buntowniczej. A konieczność reformy, zwłaszcza po ostatniem przesileniu ministeryalnem, stała się dla wszystkich oczywistą. Trzydzieści kilka ministeryów zmieniło się w krótkim okresie istnienia Rzeczpospolitej. Czyż można grać tak bezkarnie najważniejszemi sprawami przed zamąconym krajem jedynie na uciechę wrażliwej galeryi paryskiej i dla zadowolenia dumy Warwicka radykalnego, który tworzy i obala gabinety podług swego widzimi się? Politycy, zajęci wciąż knuciem tego rodzaju intryg, stają się tak ślepymi, iż nie widzą nic, co się dzieje po za areną parlamentarną, a tymczasem masy się zniechęcają, a jeżeli niema jeszcze otwartego porzucania sztandaru republikańskiego, to stronnictwa, które się koło niego grupują, coraz bardziej na tem cierpią, rozpadając się na mnóstwo partyj i odłamów — w ostatecznym rezultacie znalezienie odpowiedniej większości dla utworzenia silnego rządu staje się coraz trudniejszem. Dolegliwości te dyskredytują Rzeczpospolitą w oczach ostatniego chłopa, zarówno jak i rządów europejskich. Republikanie okazują się niezdolnymi do utrzymania chorągwi, którą wywiesili. Wszystko to musiało doprowadzić do zupełnej bezpłodności w sprawach wewnętrznych, a zarazem do groźnej i burzliwej reakcyi bulanżyzmu, w sprawach zaś zewnętrznych do trzymania Francyi zdala od wszelkich spraw i tajemnic dyplomatycznych, których nie można powierzać ludziom, mającym dni policzone. Zgubny ten dla kraju stan jest jeszcze zgubniejszy dlatego, iż wywołuje — jako skutek wzajemnych usług, które sobie oddają większość i ministerya — wspólny wyzysk wygód władzy i to doprowadzony do takich rozmiarów, jakich nawet poprzednie rządy nigdy sobie nie pozwalały.

Ta ostatnia dolegliwość ściśle jest związana z pomieszaniem władz, które we Francyi znajdujemy. Deputowani nie ograniczają się tu wydawaniem praw i podatków; mieszają się oni i do rządów administracyjnych i politycznych kraju, czy to za pomocą interpelacyi i porządków dziennych, któremi narzucają swą wolę ministrom, czy też wymagając, w nagrodę za swe głosy, mianowania na urzędy lub wogóle względów administracyjnych. Z drugiej strony ministrowie przyjmują czynny udział w prawodawstwie i stawiają kwestyę gabinetową przed Izbami w ten sposób, iż deputowani kierują się w swych pracach mniej rozważaniem stron prawnych, niż chęcią utrzymania przy władzy swych przyjaciół lub odpędzenia od nich swych wrogów. Ta wymiana głosów na fawory jest ohydną i nie ma wątpliwości, że deputowani i ministrowie zawsze poświęcać będą interesy kraju swej ambicyi osobistej. Zło może być wytępione tylko przez ścisły podział władz — a zatem trzeba, aby każda była zosobna i niezależnie przez lud mianowana. Reforma ta może być osiągnięta tylko przez zamianę ustroju parlamentarnego na reprezentacyjny. Różnicę tych dwóch ustrojów Andrieux w studyum „La république parlamentaire,“ gdzie rzucił najgłębsze może poglądy na kwestyę rewizyi, określa w sposób następujący.

„Publiczność miesza często ustrój parlamentarny z reprezentacyjnym i jest przekonana, przez skłonność do drugiego, wypowiadać się przeciw tym, co walczą z pierwszym; ważnem przeto jest usunięcie zamętu pojęć, korzystnego tylko dla parlamentaryzmu.

System reprezentacyjny jest to ten, w którym atrybucye istotne zwierzchnictwa należą w zasadzie do narodu, są oddawane przezeń oddzielnie władzy wykonawczej i oddzielnie prawodawczej. W systemie tym ci, co rządzą, również jak i ci, co wydają prawa, przedstawiają lud w sposób bezpośredni.

Natomiast ustrój parlamentarny każe przypuszczać oddanie przez naród w ręce parlamentu zwierzchnictwa w zupełności, a zatem pomieszanie władz.“

Trzeba więc, żeby prezydent Rzeczpospolitej na równi z Izbami był mianowany bezpośrednio przez lud, jak to się dzieje w Stanach Zjednoczonych. Clémenceau i cała skrajna lewica stawiają to właśnie żądanie. Parlamentaryzm nie jest zgodny z głosowaniem powszechnem — dowodzi dalej Andrieux — gdyż to ostatnie, zapewniając wszystkim partyom i grupom przedstawicielstwo, sprzeciwia się faktycznie utworzeniu większości rządowej. Wszystkie mniejszości mają wciąż możność porozumienia się, możność, która peryodycznie powstrzymuje wszelką działalność gabinetu. Naquet w podobnej krytyce posuwa się tak daleko, iż uważa parlamentaryzm za utwór czysto angielski, który na gruncie francuskim w żaden sposób przyjąć się nie może; zwłaszcza jest on niemożliwy dziś, wobec nieprzejednanej opozycyi

---

4)

Ideał panny Julii.

OBRAZEK GALICYJSKI.

(Dokończenie).

Profesor stał ciągle, obiema rękami ściskając poręcz krzesła; niepewny uśmiech błąkał się mu po wargach.

— Więc cóż, więc jakże? — pytała panna Julia, rękę ku niemu wyciągając.

Profesor dotknął ręki, a oczyma na pełnych jej ustach zawisnął.

Zaniepokoiła się jego milczeniem.

— Jest już wiadomość? — spytała i głos jej drgnął nieco. — Jakże?

Jakby się ze snu obudził.

— Wiadomość?.. A! mam ją, mam.

Niezręcznie, siląc się ukryć swój niepokój zaczął na stole przerzucać papiery.

— To jest pewnie — wtrąciła panna Julia.

Biała ręka przesunęła się tuż nad jego rękami, dotykając zarzuconej koperty.

Profesorowi w oczach pociemniało.

Opanował się jednak, podniósł kopertę i w milczeniu, z półuśmiechem patrzał na pannę Julię.

— Panie — szepnęła, niepewna jeszcze, ale już domyślając się szczęśliwej nowiny. Czytajże mi pan prędzej — dodała żywo i cała drżąca niecierpliwością pochyliła się ku niemu.

— Czytać?.. Czy mam czytać? — bąkał profesor.

— Prędzej, prędzej — nagliła, pochylając się wciąż nad listem; ciemny warkocz lekko rozrzucony na wietrze mignął mu przed oczyma.

Wysunął szybko list z koperty i głosem stłumionym, słów nie rozumiejąc, czytać zaczął wszystko, od daty, aż do podpisu.

List był trochę zadługi, lecz stanowczo głosił rezultat starań: przyjęcie Adama do szkoły w L.

Profesor skończył i zdziwiony ciszą, oczy na pannę Julię podniósł.

Siedziała na niskiem krzesełku tuż obok biurka, z twarzą w obu rękach ukrytą. Postąpił ku niej.

— Panno Julio, pani... pani moja! — wyszeptał, pochylając się nad nią.

Zdawała się nie słyszeć; ramiona jej drżały lekko.

— Boże mój, ona płacze! — zawołał zrospaczony i ujął jej ręce.

Panna Julia podniosła się żywo, wyprostowała, dłonią przesunęła po oczach i zwróciła się, rzuciła się raczej ku niemu.

— Ach panie!.. życie mi wracasz...

Oczy wilgotne jeszcze, pełne dziękczynnej radości podniosły się ku niemu; na ustach błądził jakiś półrzewny, półwesoły uśmiech.

— Czem się odwdzięczę? Na zawsze... Nie, nigdy nie będę w stanie...

Nie mogła znaleźć wyrazu, któryby dostatecznie uczucie jej wypowiedział; wreszcie szybkim ruchem w obie dłonie ujęła rękę i serdecznie ją uścisnęła.

On milczał i tylko wzrokiem płonącym wpijał się w twarz jej, w usta, w oczy, w postać całą, wdzięcznie ku niemu podaną. I nagle zbladł; oddech zamarł mu w piersiach. Nie wypuszczając jej dłoni, drugą ręką opasał jej ramiona i gwałtownym uściskiem porwał ją ku sobie.

— Moja ty, moja... moja... — szeptał pochylony ku niej, szalonymi pocałunkami osypując jej włosy i czoło.

Przed panną Julią ziemia się rozwarła, czy piorun uderzył — nie pojmowała, nie pamiętała nic, czuła się tylko bez granic wstrząśniętą. Gdy nieco przyszła do siebie, spostrzegła, że stoi po drugiej stronie biurka, całą jego długością oddzielona od profesora, który blady i drżący posuwał się ku niej i wstrzymywany jej wzrokiem, stawał.

— Nie rusz się pan... Jak pan możesz?..

Dziwnie jej samej wydały się własne słowa, rozbrzmiewające w wielkiej ciszy.

monarchicznej, która tworzy istotny naród w narodzie. W takich warunkach wynikła absolutna niemożliwość rządzenia, która niedawno na ostatniem przesileniu znów się przejawiła, dzięki związkowi prawicy ze skrajną lewicą. Ale czyż konstytucya z r. 1875 nie zawiera lekarstwa na te dolegliwości? Tak. Istnieje prawo rozwiązania Izby. Lecz kraj może posłać do niej też same mniejszości—i prawdopodobnie w chwili obecnej tak by uczynił. Oczywista rzecz, iż w takim razie nie pozostaje innego środka, jak wyjąć gabinet z pod wszechwładzy parlamentu. Przychodzimy w ten sposób znowu do metody amerykańskiej, która czyni z ministrów „hommes d'affaires“ prezydenta: nie zjawiają się oni nigdy w parlamencie, nie są przed nim odpowiedzialni i nie prowadzą wspólnej polityki. Wybór ministrów, jedynie zależnych od prezydenta, jest więc drugim, koniecznym warunkiem ścisłego rozdziału władz. Zdaniem Naqueta jest to konieczność, która się narzuca, jeżeli Rzeczpospolita ma istnieć. Władza wykonawcza nie powinna być rozpatrywana jako wróg swobód publicznych, lecz, przeciwnie, jako najdzielniejszy ich obrońca. Nie trzeba, ażeby brak zaufania sprowadzał ją do niemocy, a dopiąć tego można, tylko otoczywszy się całym szeregiem powyższych rękojmi.

Wniosek ogólny Andrieux'go jest ten, iż trzeba wybierać między parlamentaryzmem a głosowaniem powszechnem. Wybór nie jest trudny. Z konieczności trzeba będzie poświęcić parlamentaryzm i przyjść do rządów reprezentacyjnych. Zadanie sprowadza się do znalezienia takiej formy tych rządów, którąby najbardziej się nadawała dla demokracyi francuskiej. Zasadniczym rysem takiej formy jest dla radykalistów jedność władzy prawodawczej, która zdobyta zostanie przez zniesienie senatu, jako nieopartego na głosowaniu powszechnem i faktycznie stojącego na przeszkodzie przeprowadzeniu wszelkich reform społecznych. Taka jest wogóle krytyka tych, co uważają, iż parlamentaryzm nie jest zgodny ani z Rzeczpospolitą, ani z głosowaniem powszechnem. Z drugiej jednak strony w obozie bardziej umiarkowanym, który zresztą także jest przekonany o potrzebie zmiany, objaśniają wszystkie zaburzenia maszyny państwowej, jako wynikające jedynie z nieznacznych braków panującej ustawy, a głównie z niezręczności i niedoświadczenia ludzi, którzy u steru się znajdują. Ten ostatni pogląd ma daleko więcej przedstawicieli w Izbie, a ponieważ i radykaliści także się nie spodziewają, żeby zdołali przeprowadzić w prędkim czasie gruntowną reformę, więc teraz chodzi już tylko o wynalezienie całego szeregu zmian, któreby zapobiegły najgroźniejszym wadom konstytucyi.

Naprzód trzeba nałożyć wędzidło egoizmowi partyjnemu, który obecnie na każdym kroku podstawia swe interesy na miejsce interesów kraju, wyrywając władzę swym współzawodnikom. Solidarność ministeryalna musi więc być zniesiona, żeby gabinet nie padał cały, często nawet przy kwestyach niedotyczących polityki ogólnej. Zachowując więc tymczasowo parlamentaryzm, trzeba ześrodkować całą odpowiedzialność tylko na prezydencie rady ministrów. Jego dymisya w razie niezgody z Izbą w kwestyach polityki ogólnej byłaby wystarczająca. Inni ministrowie będą zwykłymi naczelnikami rozmaitych gałęzi administracyi. W ten sposób ministeryum nawet podczas przesileń pozostawać będzie wciąż na nogach, nie dyskredytując Rzeczpospolitej w oczach mas, którym się wydaje, iż w razie przełomu cały ustrój się zawali. Dla uniknięcia zaś obecnie istniejącego zepsucia trzeba, żeby ministrowie wybierani byli po za obrębem parlamentu. W ten sposób zniknie tu zajadłość, z którą obecnie usiłują utrzymać się przy władzy, opierając się na „syndykacie interesów“ partyjnych, zaspokajanych ze szkodą i krzywdą dla kraju. Reforma ta jest tem bardziej możliwa, iż ministrowie wojny, marynarki, robót publicznych i rolnictwa nie są nawet ludźmi politycznymi, mogą tu wystarczać zwykli specyaliści, którzy pozostaną na swych urzędach dopóty, dopóki wypełniać je będą sumiennie i zdolnie. Inni ministrowie będą dawali tylko rady prezydentowi gabinetu, którzy na swą odpowiedzialność prowadzić będą politykę ogólną. W dalszym ciągu zwolennicy reform przedstawiają, iż obecne wybory, odbywające się co 4 lata, przerywają na pewien czas prace Izb i zarazem każą peryodycznie kwestyonować samo istnienie Rzeczpospolitej. Gdyby natomiast co roku zmieniano odpowiednią część deputowanych, wówczas pozostali prowadziliby w dalszym ciągu rozpoczęte prace i nie byłoby tych strasznych zaburzeń, które obecnie wybory powszechne ściągają na kraj.

Nareszcie co się tyczy senatu, to umiarkowani reformatorzy zgadzają się, iż podział władzy prawodawczej między dwie Izby na równych warunkach jest źródłem walk, nieporządku i zastoju, odpowiadają wszakże, iż zapobiedz temu można, zmniejszając tylko wpływ senatu, który właściwie powinien grać rolę nie bodźca, ale tylko wędzidła. Otóż można mu nadać jedynie *veto*, zawieszające postanowienia Izby aż do następnych wyborów cząstkowych, gdy kraj w osobie nowych deputowanych ostatecznie rozstrzygać będzie kwestyę. Oto jest minimum reform, które przeprowadzić trzeba, bo jeżeli nadal trwać będzie dotychczasowe błądzenie, jeżeli ta wymiana głosów na fawory miałaby ostatecznie wgryźć się w życie polityczne, jeżeli ministerya i znajdujące się pod niemi „syndykaty interesów“ wyzyskiwać będą władzę i rujnować administracyę synekurami rozdawanemi nieudolnościom, to zagrożoną zostanie już nietylko ustawa, ale sama Rzeczpospolita.

Eipon.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Bill Rollita, żądający nadania kobietom praw wyborczych biernych, upadł większością dwudziestu kilku głosów, przyczem ironia losu miała dwa powody do gorzkiego uśmiechu: bill został odrzucony za panowania kobiety i odrzucony przez liberałów. Nie wiele jest widoków politycznych, z którychby tryskałby pyszniejszy humor.

Pomimo dość obfitego połowu anarchistów, bomby we Francyi nie przestają pękać. Widocznie garść burzycieli zaopatrzyła się w znaczną ilość dynamitu. Wypadki te, połączone z nieoczekiwanym wyrokiem w procesie Ravachola, podsunęły uwadze rządu francuskiego dwie kwestye: ograniczenia swobody wyrobu materyj wybuchowych i dopełnienia kodeksu karami za zamachy na życie i zabójstwa tego rodzaju. Podobno już minister sprawiedliwości opracował odpowiednie projekty.

Sędziowie przysięgli, którzy uwolnili Ravachola od gilotyny, otrzymali chłostę od całej niemal prasy europejskiej. Wydrwiono i napiętnowano nie zasadę ich wyroku, której zresztą nie mieli, ale tchórzostwo. Przy naradzie bowiem oświadczyli się wszyscy przeciwko przyznaniu winowajcy okoliczności łagodzących, a gdy złożyli tajemne głosy, okazało się, że z 12 tylko 5 miało odwagę wytrwać przy swem zdaniu. Głowę zatem Ravachola uratował

— Odejdź pan, odejdź! Nie chcę widzieć pana...

I rzekłszy to, sama rzuciła się do drzwi.

Profesor, który trzymany jej wzrokiem, jak dziecko skarcone zdawał się błagać litości, teraz widząc ją uchodzącą, dogonił ją w paru krokach i zagrodził jej drogę.

— Nie odchodź... nie igraj ze mną — bełkotał niewyraźnie. — Czy nie widzisz, że szaleję, że żyć dłużej bez ciebie nie mogę?..

A gdy ona w przerażeniu stanęła, patrząc na niego wzrokiem pojmanego ptaka, przysunął się bliżej i klęknąwszy opasał ją ramionami.

— Nie zostawiaj mnie... Nie rzucaj! Och, Julio...

Łkanie głos mu zatamowało, ukrył twarz, na którą łzy wybiegły.

Czy drgnęło co tam w sercu panny Julii? czy odżyło jakie dawne wspomnienie? Pochyliła się ku niemu i głosem złamanym szepnęła:

— Mój Boże, czego pan chcesz ode mnie?

Nuta współczucia, która drgała w tych słowach, do ostatka go wykoleiła.

Porwał się z klęczek i pierwej, nim się zdołała opamiętać, chwycił ją w ramiona i uniósł w głąb pokoju.

W pannie Julii zawrzało; szarpnęła się z oburzeniem, lecz krępujące ją ramiona zdawały się być z żelaza.

Pojęła, że moralną bronią walczyć musi.

— Pan się zapominasz — rzekła sucho. Puść mnie pan! Nie jesteśmy na scenie... ani za kulisami.

Obu rękami wsparła się o jego ramiona, i mrużąc zlekka oczy, spojrzała mu w twarz chłodno.

Ramiona mu opadły, cofnął się. Doświadczył wrażenia otrzymanego policzka. Podszedł ku oknu, skrzyżował ręce na piersiach i wzburzoną twarz odwrócił od niej.

Panna Julia pewnym, równym krokiem podeszła do stołu, wzięła kapelusz i rękawiczki, i powoli zwróciła się do drzwi.

— Żegnam — powiedziała od progu lodowo spokojnym tonem i znikła za drzwiami.

Powoli przebyła przedpokój i wschody, otwierającemu drzwi lokajowi rzuciła do ręki parę srebrnych monet.

Lecz gdy zatrzasły się za nią wielkie drzwi frontowe, gdy znalazła się sama na ulicy, sztuczna energia prysła w jednej chwili. Ostatecznym wysiłkiem wstrzymując łkanie, tłumione w piersiach, biegła, sama nie wiedząc gdzie, byle prędzej, byle dalej. Instynktownie wybierając mniej ludne ulice, znalazła się wkrótce w tym samym parku, gdzie przed godziną tak jasne i spokojne snuła myśli. Upadła na ławkę znękana i ukrywszy twarz w dłoniach, wybuchnęła łzami.

Czego płakała? Nie umiałaby może jasno sobie zdać sprawy. Ból ogromny, zmieszany z poczuciem zniewagi, podnosił się z głębi jej duszy i wzburzał ją całą. Nigdy w życiu tak brutalnie upokorzona nie była. Z jakiej przyczyny? Jakiem prawem? Szła drogą uczciwą i prostą, żadna myśl zła nie przemknęła w jej duszy, jak śmiano tak ją znieważyć? Jej losy ważyły się w tej chwili, więcej niż jej, bo kochanego brata. Cała zawisła na tej nitce nadziei, która miała albo pęknąć, albo stać się liną ratunkową dla obojga — a tu, obok ktoś śmiał napawać się jej widokiem, ktoś śmiał...

Kto mu dał prawo do tego szaleństwa, jak je sam słusznie nazwał? Czy ona?.. Nigdy, żadnem słowem, żadnem wejrzeniem, pamięta to dobrze; choćby nie pamiętała, ręczy za siebie. Była mu przyjemną i wdzięczną, czyż nie wolno wyrażać tych uczuć bezkarnie? Czyż dla tego, że jest młodą kobietą, nie ma prawa dać uczuć mężczyźnie, że mu sprzyja, jak szczery przyjaciel, że umie ocenić, jeśli co dobrego dla niej uczyni? Nie, nie! nie w tem zło. A tylko?.. Jak on śmiał, jak śmiał! Lecz może pokochał ją tak nagle? Miała ochotę wybuchnąć gorzkim śmiechem. Miłość, która znieważa, cóż to za miłość! Jeśli kiedy czuł dla niej coś cieplejszego, choć trochę... to było wtedy, przed sześciu laty. Nie upokorzył jej wtedy żadnym brutalnym wybuchem; była tam miękkość jakaś, rzewność, pokora niemal, obok ojcowskiej opieki. Takiego ona szano-

jeden głos. Ma ona wszakże spaść podobno w innym procesie, który mu wytoczono za morderstwa zwykłe przed innym sądem.

W Izbie francuskiej zaczynają już ustawiać gilotynę dla nowego gabinetu, który wzbudził niezadowolenie swą bezczynnością wobec anarchizmu, a Clemenceau, kat parlamentarny, gotuje się do „spełnienia swego obowiązku.“

Wybory do rad gminnych dały pewien, dotąd jeszcze ściśle nieznany, przyrost republikanom a straty monarchistom. Znaczy to, że Rzeczpospolita rozszerza ciągle swe korzenie w narodzie.

Włoska para królewska ma w czerwcu odwiedzić dwór berliński a towarzyszyć jej będzie prezes ministrów, Rudini. Pogłoska twierdzi, że zamierza on przedstawić rządowi niemieckiemu niemożność utrzymania nadal armii włoskiej w dotychczasowem pogotowiu i konieczność zmniejszenia jej, co naturalnie — jak wykazaliśmy niedawno — wpływałoby na znaczenie i naturę trójprzymierza. *Times*, który od pewnego czasu stał się workiem najfantastyczniejszych plotek swych korespondentów, zapewnia nawet, że podczas tego zjazdu w Berlinie rozważona będzie kwestya rozbrojenia Włoch i Austryi, ku czemu oba te państwa skłaniają się wielce. Można to jednak między bajki włożyć.

Przy obradach sejmu pruskiego nad nowym wydatkiem dla wyposażenia świeżo ustanowionego prezesa ministrów wszystkie stronnictwa otworzyły swe serca pełne radości, niepokoju lub smutku nad mogiłą pogrzebanej ustawy szkolnej. Konserwatyści i ultramontanie wystąpili w żałobie z namiętnem szlochaniem, narodowo-liberalni odśpiewali hymn zwycięzki a postępowcy, pochwaliwszy krok rządu, domagali się odpowiedzi na pytanie: „gdzie jesteśmy i dokąd dążymy?“ Żaden wszakże z ministrów nie rozwiązał im tej zagadki, która rzuca cień na kierunek „nowego kursu.“ Bo też rzeczywiście nikt nie wie, dokąd nawa państwowa biegnie. Wilhelm II, energiczny w słowach, a chwiejny w czynach, wytworzył stan dziwnej niepewności co do swoich celów i zamiarów.

Dzień 1 maja przeszedł w całej Europie spokojnie. Złożyło się na to dwie przyczyny: unikanie ze strony robotników wykroczeń przeciw porządkowi, oraz święto, które zapobiegło ich starciu z pracodawcami i porzucaniu zajęć.

BADANIA NAUKOWE.

ZNACZENIE ZAĆMIEŃ HISTORYCZNYCH DLA ASTRONOMII.

Ludzie, nieobeznani bliżej z astronomią, nie mają wyobrażenia, ile kłopotów przyczyniał od najdawniejszych czasów aż dotąd jej badaczom księżyc, to najbliższe ziemi i — zdawałoby się — najłatwiejsze do obserwacyi ciało niebieskie. Ta właśnie bliskość, ta względna łatwość spostrzeżeń, dająca możność osiągnięcia nierównie większej, niż względem innych planet, dokładności, sprawia, że dotychczas nie umiemy zdać sobie sprawy z ruchów naszego satelity. Rozwiązanie tego paradoksu jest proste. Weźmy tafelkę szklaną o krawędziach dokładnie polerowanych: ani dotyk, ani oko nie pozwoli nam odkryć w nich najmniejszego zboczenia od linii prostej; ale umieśćmy tafelkę pod mikroskopem, a ujrzymy brzeg tak postrzępiony, niby w oddartym kawałku papieru. Jak nie ma w naturze dokładnej linii prostej, tak nie ma nigdzie ścisłych praw natury — nawet w astronomii. Zjawiska przyrody raczą o tyle zgadzać się z szematami, w które je wciska nasz umysł, o ile trzymamy się w przyzwoitej od nich odległości; a jak doskonały zdaleka łuk sklepienia wykazuje ślady składających go cegieł, gdy mu z bliska się przyglądamy, tak i zjawiska fizyczne istotne uchylają się od tych przepisów, które im rozum ludzki zakreśla w swojej dążności do prostoty i harmonii. Badając przyrodę, idealizujemy ją.

Ten właśnie wypadek stanowi bieg księżyca. Już Hipparch przy niedokładnych nawet metodach ówczesnego spostrzegania nie mógł mu podołać, a Ptolomeusz zmuszony był wymyślić dla niego osobliwą kombinacyę kół niespółśrodkowych z epicyklem. Kopernik, który na zwątpienie Retyka, dotyczące błędu o kilka minut, odpowiedział, że uważałby się za szczęśliwego, gdyby mógł być pewnym w granicach dziesięciu minut łuku, widział jednak niemożliwość pogodzenia ruchów księżyca z przypuszczeniem orbit kołowych. Od najdawniejszych czasów odkrywano coraz to nowe „nierówności“ w biegu tego ciała, to jest zboczenia od drogi najprostszej, którą mu rozmaite teorye zakreślały.

Jedną z takich nierówności jest wykryta przez Halleya za pomocą porownania zaćmień podawanych przez pisarzy starożytnych ze współczesnymi mu nierówność wiekowa. Długo wysilały się najlepsze umysły na jej wytłomaczenie, aż wreszcie Laplace, wypróbowawszy poprzednio domniemania, że siła ciążenia wymaga pewnego czasu na przebieg odległości międzyplanetarnych, ogłosił w r. 1787 akademii paryskiej, że znalazł przyczynę tej nierówności, polegającej na przyspieszeniu stopniowem średniego biegu księżyca, wynoszącem około 10 sek. na stulecie. Przyczyną tą miało być wiekowo zmniejszenie mimośrodu ziemi; według obliczeń Laplace'a, przyspieszenie księżyca powinnoby trwać kilka milionów lat, poczem musiałoby nastąpić również stopniowe zwolnienie jego biegu.

Kilkanaście lat temu Adams, sprawdzając obliczenia Laplace'a, znalazł, że przyczyna, której przypisywał nierówność wiekową księżyca astronom francuski, może wytłomaczyć najwyżej przyspieszenie o 6 sek. w ciągu stulecia, podczas gdy istotne miałoby wynosić nie 10, jak mniemał Laplace, lecz 12 sek. Pozostałe przyspieszenie wyjaśnia się zwolnieniem obrotu ziemi, spowodowanem przez przypływy i odpływy. Wszelako kwestya nie jest rozstrzygnięta ostatecznie. Czy planetę naszą spotka z czasem los, jakiemu ulega księżyc, zwracając ku nam tylko jedną stronę tarczy, a jakiemu według przypuszczeń Schiaparellego uległa Venus, zwrócona zawsze jedną stroną ku słońcu? Oto pytanie, które rozstrzygnąć powinny owe 6 sekund na stulecie. Jeśli bowiem wpływ przypływów i odpływów zwalnia obrót ziemi, to koniecznym wynikiem tego będzie z czasem zupełne jego ustanie.

P. Tisserand zestawia wszystkie wiadomości o zaćmieniach z dawnych czasów, podanych w pewnych źródłach, aby oznaczyć, o ile mogą się one przyczynić do rozwiązania tej zagadki. („Rocznik Biura długości“).

Najdawniejszem jest zaćmienie Thalesa, tak nazwane dla tego, że on miał je przepowiedzieć. Herodot mówi o niem: „Następnie medowie i lidyjczycy toczyli wojnę, która trwała pięć lat... W szóstym roku pewnego dnia, gdy trwała bitwa, dzień nagle zamienił się w noc. Thales z Miletu przepowiedział był to zjawisko jończykom, oznaczając ten sam rok, w którym ono nastąpiło istotnie. Lidyjczycy i medowie, wi-

---

wała, taki był jej ideałem. A teraz... Och, ohyda! Wstrząsnęła się; zdawało się, że parzą ją własne jej ramiona, jej włosy i oczy, zbrukane jego pocałunkami. Nędznik! — syknęła przez zaciśnięte zęby. Żyć bez niej nie może... Nie powiedział jej tego wtedy, gdy żegnając go, tak dziecinnie zdradziła się ze swem uczuciem. Nie powiedział jej tego przez całe sześć lat oddalenia, może nawet nie myślał o niej nigdy, a teraz, w ciągu dni kilkunastu, szaleje za nią! Toć pierwej, przez lat kilka wspólnej pracy mógł poznać ją lepiej, niż teraz, gdy jedynie sprawą brata była zaprzątnięta. Ale wtedy była mizernem, wyniszczonem pracą i niedostatkiem dziewczęciem, a teraz — „zmieniła się znakomicie!“

— A, nędznik! — szepnęła znów przez wargi — Filister, nędzny, groszowy filister... on, mój niegdyś ideał!

Tyle było bólu w tej myśli, że łzy piekące wybiegły jej na oczy.

— Co za szczyt naiwności z mej strony! Brać za nic te jego nagło mieszanie się, owe niewyraźne półuśmiechy, owe rąk uściski, które miały być braterskiem współczuciem... Trzeba zawsze stać na wodzy, w każdem słowie podchwytywać fałszywą nutę, w każdem spojrzeniu lękać się obelgi, w każdej oznace przyjaźni — ukrytej intencyi. Nie można, gdy się jest młodą, mówić, co się myśli, ani wyrażać jasno i otwarcie najczystszej przyjaźni, bo cię posądzą o gotowość do wszelkich ustępstw... na które tylko czekają...

— A, jaki nędzny świat! Jeden ściek zepsucia, jedno wirowanie zwierzęcych instynktów...

Końca nie było tym myślom. W szalonym pędzie zmieniały się jedna za drugą, to gorzkie, to szydercze, to urągliwe nad swą dawną wiarą w ideały — a wszystkie rozbijały jej duszę i tak gięły ku ziemi, tak gięły...

Nagle wspomnienie jak ostrze noża ugodziło ją w serce. Wyprostowała się, ręce sztywnie usunęły się na kolana.

— Adaś... — szepnęła pobladłemi ustami — Adaś...

Zapomniała o nim aż dotąd.

Wrócić? prosić o list?

— Nigdy! — zawołała, prostując się całą postacią.

Zamyśliła się długo, głęboko, gorzko. W spuszczonych w ziemię oczach odbijał chłodny, ponury blask; między brwiami legła głęboka zmarszczka, która na zawsze już tam pozostała.

— Wszystko skończone! — wyrzekła głucho, wolnym krokiem wychodząc z ogrodu.

Tego dnia jeszcze upakowała swe rzeczy do drogi, aby wieczornym pociągiem powrócić do domu.

— Powiem Adasiowi, że robiłam wszystko... co mogłam — powtarzała sobie przez wieczór cały.

Będąc już na dworcu, gdy z kupionym biletem odchodziła od kasy, spostrzegła przed sobą zgiętego we dwoje lokaja profesora. Mimowolny rumieniec purpurą pokrył jej policzki.

— Jaśnie pan kazał dziś koniecznie oddać pani, bo jutro wyjeżdżamy za granicę — mówił lokaj, podając list.

Zawahała się na jedno mgnienie oka, chciała sługę odpędzić, listem mu w twarz cisnąć; jego pytające wejrzenie opamiętało ją; wzięła pismo i nie rzekłszy słowa, wsunęła je do torebki. Już w wagonie drżącą ręką rozerwała kopertę i list do światła podniosła. Był to ów ranny, polecający Adama, list — i ani słowa więcej. Odetchnęła z głębi piersi.

Tak więc, sprawa była wygrana — a jednak panna Julia jechała do domu smutna; smutniejsza jeszcze niż wtedy, przed sześciu laty...

W. Dal.

dząc, że noc raptownie zastąpiła dzień, przerwali bitwę i zajęli się gorliwie zawarciem pokoju.“

Wielce prawdopodobnie mowa tu o zaćmieniu słońca, ale ani czas, ani miejsce nie są oznaczone. Pliniusz podaje rok 4-ty 48-ej olimpiady, Klemens z Alexandryi — 50-tą olimpiadę. Rozmaici pisarze obliczają tę datę w granicach między 1 października 583 r. przed Chr. a 30 września 610 r. Newcomb, roztrząsając wszystkie dane, przychodzi do następującego wniosku. Trzy punkty są niewątpliwe:

1) że podczas bitwy pomiędzy lidyjczykami a medami nastąpiła raptowna ciemność;

2) że Thales przepowiedział zaćmienie;

3) że, jak dowodzą obliczenia na podstawie tablic księżyca, 28 maja 584 r. przed Chr. cień księżyca przeszedł po Azyi Mniejszej.

Nie mamy jednak pewności, że te trzy zjawiska stosują się do tegoż samego wypadku.

O zaćmieniu w Laryssie mówi Ksenofont:

„Król perski, oblegając to miasto, nie mógł go zdobyć, gdyż chmura, zakrywając słońce, sprawiła taką ciemność, że mieszkańcy wyszli z miasta i w ten sposób zostało ono zdobyte.“

Miejsce jest dokładnie znane, ale nie mamy pewności, czy to było zaćmienie i czy całkowite. Według obliczeń Airy'ego, pas bardzo wązki zaćmienia całkowitego przechodził przez dawną Larissę 19 maja 557 r. przed Chr.

Zaćmienie Kserksesa miało miejsce w czasie pochodu tego króla przeciwko grekom, w tym samym roku, co i bitwa Salamińska. Herodot mówi, że wojsko poczuło leże zimowe za zbliżeniem się wiosny i wyszedłszy z Sardesu, szło ku Abydos, gdy nagle słońce przestało być widzialne, noc zastąpiła dzień, chociaż niebo było bezchmurne i jasne. Tu podane są dokładnie miejsce, rok, pora roku (wiosna) i czas dnia (ranek); tekst nie pozwala wątpić, że mowa o zaćmieniu całkowitem. Niestety, obliczenie dowodzi, że w tym czasie nie było wcale zaćmienia całkowitego, widzialnego w Sardesie. Airy wprawdzie wykazuje, że 14 marca 479 r. przed Chr. było całkowite zaćmienie księżyca. Ale księżyc nie może zastąpić słońca wobec tekstu Herodota.

Diodor Sycylijski opowiada, że Agathokles, będąc otoczony przez kartagińczyków w porcie Syrakuzkim, skorzystał z osłabienia czujności nieprzyjaciół, aby wymknąć się i popłynął ku brzegom Afryki. „Dnia następnego przypadło takie zaćmienie słońca, że można było mniemać, jakoby noc nadeszła, gdyż ze wszech stron ukazywały się gwiazdy. Wojownicy Agathoklesa, przekonani, że bogowie przepowiadają jakieś nieszczęście, byli w największym niepokoju co do przyszłości.“

Tu nie ma wątpliwości co do faktu zaćmienia zupełnego. Nie ma jednak pewności co do punktu, w ktorym się znajdował Agathokles w chwili zaćmienia. Wszyscy zgodni są co do daty, którą wyznaczono na 15 sierpnia 510 r. przed Chr. Dzięki szczególnemu zbiegowi okoliczności — powiada Newcomb — granice, które możemy określić dla położenia Agathoklesa na morzu, odpowiadają prawie zupełnie tym, w których waha się przypuszczalna wielkość nierówności wiekowej księżyca. Jedno z możliwych położeń daje 12 sekund, drugie 7 lub 8 sek.

Zaćmienie w Stiklastadzie nastąpiło podczas bitwy, którą staczali wojownicy chrześciańscy pod dowództwem króla norweskiego, Olafa Świętego, z powstańcami poganami. Opisuje je Snorro Sturlason: „Pogoda była jasna i słońce świeciło; lecz gdy rozpoczęła się bitwa, barwa różowa powlekła niebo i słońce i zanim skończył się bój, nastąpiła taka ciemność, jak w nocy.“

Położenie pola bitwy było ściśle oznaczone, co pozwoliło obliczyć czas zjawiska a więc i bitwy na 31 sierpnia 1030 r. Tymczasem nowa praca, zasługująca na zaufanie, stwierdza siłą dokumentów historycznych, że bitwa odbyła się 29 lipca 1030 r. Jeśli ta data jest wiarogodna, zaćmienie nastąpiło dopiero w miesiąc po bitwie i położenie jej pola zostaje znowu nieokreślonem.

Z tego zestawienia wnosi Tisserand, że zaćmienia dawne nie są dość ściśle oznaczone, aby można było niemi się posługiwać do obliczenia wiekowej nierówności księżyca. Zagadnienie o zwolnionym obrocie ziemi zostaje więc wciąż w zawieszeniu.

Wł. M. K.

LITERATURA I SZTUKA.

MGŁAWICE „KRYTYKI NAUKOWEJ.“

I.

Do rzędu książek, które się zabija u nas milczeniem, dlatego, że nazwisko ich autora, tłomacza, nakładcy lub drukarza nie trafia do serca klice wzajemnej reklamy, przybyła świeżo jedna — biedna. Ponieważ dotąd cicho o niej, ani mrumru, więc wniosek stąd wypływa sam przez się, iż musi ona zawierać tak zwaną *myśl*, w przeciwnym bowiem razie na pewno byłaby obnoszoną po wszystkich targowiskach literackiej wodzianki.

Tym najnowszym materyałem na torby do zawijania liści bobkowych i wszelkich innych zastępców wawrzyna jest *Zarys krytyki naukowej* *) Emila Hennequina, francuza, który wkrótce po wydaniu tego dziełka, w kwiecie dni, wyzionął ducha. Przekładu dokonał p. Fr. Rawita, o którego pracy, włożonej w nie, wolimy powiedzieć na wstępie, by tem swobodniej i pełniej módz rozsnuć swoje uwagi nad treścią książki. Owóż, jak łatwo odgadnąć, literat ten nie hałaśliwy i nie efektowny, ale poważny i wytrawny, dzięki gruntownej znajomości obu języków spełnił swoje zadanie wogóle dobrze, nie zepsuł stylu oryginału tonem sztuczności i wymuszenia, jak się to dziś coraz częściej zdarza naszym tłomaczom-fabrykantom, nie zatarł i nie poprzestawiał akcentów logicznych w zdaniach, owszem zachował jego płynność i prostotę, z tem jednak zastrzeżeniem, że całkiem zbytecznie uszanował milową długość okresów, mogąc je zgodnie z duchem naszej mowy rozbić na części i że — co trochę smutniejsza — przeoczył tu i owdzie parę nieszczęsnych *lapsus calami*. Czynią one ujmę powadze obu imion zdobiących kartę tytułową, każdy nam to przyzna: „niepodobna więc wyciągnąć wnioski“ — znajdujemy na stronicy 84-ej; „jak skoro rzecz idzie o wrażenia...“ opiewa str. 96, gdzieindziej znów, str. 70, czytamy: „rozmaitość ta przedstawi się rzeczą całkiem naturalną.“ Szkoda wielka, że zielsk tych i wielu innych podobnych zbyt dorywcza snadź robota nie pozwoliła usunąć.

Pomysły Hennequina z wielu względów zasługują na wzmiankę; wyszły one z głowy prawdziwego myśliciela, zalecając się rozumowaniem śmiałem i pewnem, mimo szczupłe rozmiary formy swej, ogarniają widnokręgi nadzwyczaj szerokie, są owocem niepospolitego oczytania zarówno w literaturze pięknej i estetyce, jak i w piśmiennictwie zajmującem się fachowo sprawami ducha i życia. Do tych zaś powodów, zalecających książkę, przybywają na gruncie naszym jeszcze inne, natury całkiem osobliwej. Oto znajomość nowych prądów i haseł krytyki zaledwie kiełkuje u nas. Krzykactwo feljotonowych ulubieńców tłumu z jednej strony, a z drugiej śliniący się ferwor sfrancuziałych pionków literackich złożyły się na to, że pewnemi nazwiskami, jak Taine, Sainte Beuve, no i oczywiście Hennequin wyciera sobie dziś usta każdy nieuk, bądź z pogardą dla nich, bądź ze ślepą i tępą czołobitnością i uwielbieniem nowo-nawróconych. Szczególnie w tym ostatnim dopatrzono się Mahometa krytyki, przysięgając na dziełko jego jak na Koran.

Zależy nam więc na wprowadzeniu w ten zgiełk pewnego ładu i wskazaniu istotnej zasługi Hennequina, a wtedy w końcowym wyniku wylezie samo przez się na wierzch, jak od uznania, które mu się należy, powinno być daleko do bezkrytycznej korności, którą mu płacą ci i owi.

By zaznaczyć, jakie są ogólne cele tego pisarza, powiemy odrazu, że chce on udoskonalić i rozwinąć tej rodzaj badań, które pod piórem i osłoną autora *Filozofii sztuki* i *Dziejów literatury angielskiej* tak bujnie się rozrosły i zniewoliły niemal wszystkich krytyków do skrupulatniejszego liczenia się z danemi naukowemi krytyki, a mianowicie psychologią pisarza i artysty, oraz tem, co na nią jakiekolwiek światło rzuca. Jeżeli Hipolit Taine zdołał talentem swym, powiedzmy raczej: geniuszem, przenieść punkt ciężkości z *oceny* do *rozbioru* twórczości danej jednostki czy epoki; jeżeli pozostawił na drugim planie *sąd*, a wysunął na czoło duchową *charakterystykę i analizę*, to Hennequin usiłuje wlać w ten kierunek jeszcze więcej pierwiastku ściśle naukowego i ująć go w stałe prawidła. Sprawdza on probierzem nader czułym to, co Taine już uczynił, ruguje błędy i poprawia niedokładności, wreszcie, i to może najważniejsza, pragnie tak odrodzoną i odnowioną umiejętność związać niebywałymi dotąd węzłami z całokształtem ogólnym myśli ludzkiej i nawet tymi jej działami, które napozór nic wspólnego ze sprawą piękna i sztuki nie mają.

Na tak rozległych planach ucierpiało prawo człowieka do rozkoszy estetycznej. Wpleciona w sieć najwspanialszych nauk, krytyka zyskała ogromnie na godności i wadze, stała się polem docieka̜n nader poważnych, ale zarazem zrzuciła z piedestału główny, bezpośredni cel natchnionej pracy poety i artysty — wzruszenie. Naturalnie, Hennequin świadom jest tego następstwa, lecz jeno w połowie.

Jego *estopsychologia*—tak nazywa głoszony przez się rodzaj „pozwala wnosić, z pewnych szczególnych objawów umysłu, o tymże umyśle, oraz o grupie umysłów, których jest przedstawicielem, objawy estetyczne analizuje nie w celu wyszukania, w jakiej mierze osiągają one to piękno, ale dla poznania sposobu, w jaki je urzeczywistniają, w jaki są oryginalne, indywidualne, takie wreszcie, aby można z nich wyciągnąć właściwości estetyczne, któreby pozwalały przesądzać istnienie u ich autorów lub im podobnych równoległej seryi właściwości psychicznych... Studyuje ona utwór artystyczny o tyle, o ile jest on objawem uzmysłowionym duszy człowieka i społeczeństwa.“

A któż „oznaczy zalety dzieła sztuki i określi środki, któremi osiągnięto zostały“? gotów zapytać ktoś, komu na sercu bardziej leży piękno, niż symptomatyczne jego znaczenie.

Właściwie Hennequin nie lekceważy i nie unicestwia uczucia zachwytu, lecz tylko wyznacza mu osobną dziedzinę, bądź w duszy widza, słuchacza lub czytelnika, bądź w krytyce literackiej, oddzielonej siedmiorgiem lądów i mórz od naukowej.

Owóż ten właśnie podział, z mniejszym lub większym zapałem oklaskiwany jeszcze przed Hennequinem, jest najpierw nienaturalny, niepsychologiczny, a powtóre

*) Warszawa 1892. Nakładem księgarni G. Centnerszwera.

poniża cenę wzruszeń pięknościowych. Należy dziś do tężyzny, wykołysanej w chłodnych piersiach i zużytych mózgach, nazywać wrażliwość estetyczną „umiarkowaniem ducha“ i „gustami pospolitymi.“ Hennequin nie walczył wprawdzie pod białobatystowym sztandarem dekadentyzmu ale nałogi i narowy braci po piórze dzieli. Choć stara się on troskliwie o pozór stojącego po nad prądami mody, po nad różnemi dzisiejszemi szkołami, wywodom swym nadaje piętno zimnej rozwagi i niby rachuje się z takimi faktami, jak istnienie mnóstwa odmian krytyki nawskroś uczuciowej i podmiotowej — to jednak samem owem pociągnięciem dosadnej różnicy między estopsychologią a niemi zdarł, koniec końców, larwę sofistyczną, ze źle osłoniętej tężyzny swojej.

Łatwo odgadnąć, że jeśli nowej krytyki skutkiem jest takie upokorzenie wzruszeń estetycznych, to ono tkwi i w samym jej zarodku, w samem jej założeniu i punkcie wyjścia. Jakoż wypływa to aż nadto dosadnie z pierwszej części dziełka, która zajmuje się samem pięknem i sztuką, i uważana jest przez autora za złe konieczne, za nieunikniony westybul w drodze do rozstrząsań czysto analitycznych. Twierdzi on tam, że wzruszenie, jakiego doznajemy pod wpływem dzieła sztuki, jest formą bierną wzruszenia zwykłego, słabszym stopniem emocyi rzeczywistej. W tej bowiem „obrazy posiadają całe możliwe natężenie, jakie im nadaje pewność ich prawdziwości, a w razie udziału osobistego, pewność, że przejść muszą w stan uczucia,“ gdy naodwrót przyczyny wrażeń, sprawionych przez artyzm, są urojeniem, halucynacyą, o której się wie, że jest fałszywą, choć sobie z tego sprawy nie zdajemy. Omamienie to ubezwładnia się przytem i „zobojętnia własną istotą sztuczną, hamuje się i miarkuje biegiem otaczającego życia samowiedzą ogólną, o swem bezpieczeństwie, o swej pewności osobistej.“ Stan ten porównywa on do podniecenia zmysłów, jakiego się doświadcza przy fechtunku szpadami ochronnemi.

Z tych określeń widać jak na dłoni, pod czyim wpływem urobił się pogląd Hennequina na naturę piękna. Boć to jeno przeróbka formuły, „że piękno jest przedmiotem zadowolenia bezinteresownego,“ tj. mówiąc językiem ogólnie zrozumiałym: „jałowego,“ wyznawanej przez Kanta i z małemi zmianami przez jego współczesnych, jak Szyller, a także przez myślicieli dzisiejszych, jak Spencer, który zgodnie z duchem czasu i nowemi zdobyczami wiedzy, wprowadził tło biologiczne, tak że według niego wzruszenia estetyczne są *zabawą*, dającą upust nagromadzonej energii nerwów lub mięśni, zarówno u ludzi jak u zwierząt. Wszyscy zresztą, co owczym pędem biegną za tradycyą — zamiast rozbierać samoistnie i porównywać ze sobą stany ducha, które wywołuje bodziec estetyczny, tej zasadzie bezcelowości piękna się kłaniają i co najwyżej dają jej zamiast metafizycznej oprawę, wziętą z fizyologii.

Pierwszym, który wykazał, że każde wrażenie dodatnie, w wysokim nawet stopniu zawierające czynnik dobra materyalnego czy moralnego, czy wreszcie umysłowego może być zarazem wzruszeniem estetycznem, był Marya Guyau. Swego czasu poznaliśmy czytelników *Prawdy* z ciekawem ze wszech miar dziełem jego *), w którem świetnymi przykładami zbija przesąd naukowy, dziwnie zakorzeniony, jakoby piękno było czemś koniecznie bezinteresownem. Tylko że Guyau nie zdołał należycie wyzyskać własnego odkrycia, nie potrafił oznaczyć dokładnie, kiedy i w jakich warunkach pożytek, dobro i prawda są *pięknem*. Były to pyszne, błyskotliwe szaty myśli, lecz szły luźno jak paciorki, nienanizane na nić, któraby z nich zrobiła system trwały i hartowny i przeto nie oszczędziły swemu autorowi dotkliwych ciosów krytyki. Prawda jednak, rychlej czy później, z pod korca wydobytą zostanie i nie będzie przesady, gdy powiemy, że estetyka psychologiczna, to jest jedyna mająca racyę bytu wbrew nadprzyrodzonej idealistów na wzór Platona, Szellinga lub Hegla, zagajona już jest cokolwiek, zrzadka jeszcze, ale niewątpliwie, młodemi, nieśmiało rosnącemi płonkami, które złożą się kiedyś bezwarunkowo na pojmowanie stosunku wzruszeń piękna do wzruszeń zwykłych, całkiem odrębne od teoryi „bezinteresowności.“ Postaramy się kiedyś dowieść tego bardziej wyczerpująco i słabe jeszcze kiełki wyhodować i umocnić, nie pierwsi zresztą w piśmiennictwie naszem, które może się pochlubić wysokiej wartości acz niedużą, a z pewnością mało komu znaną pracą Raciborskiego p. t. *Przyrodnicze podstawy naszych sądów estetycznych.*

*) *Les problèmes de l'esthétique contemporaine.*

Oddajmy zresztą sprawiedliwość Hennequinowi, bo i on czyni pewne ustępstwa i spłaca pewną daninę wyłaniającym się z mgławicy przeczuć pewnikom. I dla niego „każde wogóle wzruszenie może po kolei stać się estetycznem i wyniknąć z pewną odmianą, z widoku lub wysłuchania dzieła sztuki.“ Znaczy to, że jakgdyby skłaniał się do złagodzenia, przytarcia swoistego, osobliwego charakteru wzruszeń, które wznieca piękno — i spokrewniał je bliżej z życiem *niezmyślonem*. A nawet raz pisze się na zdanie estetyka angielskiego Milsanda, że „piękno, a raczej to co pod tem mianem pojmujemy, przyjemność... jest tylko jedną oktawą na olbrzymiej klawiaturze sztuki. Smutne, okropne, dziwaczne, a nawet brzydkie, należy do niego w tej samej mierze, co i wdzięczne, eleganckie lub zachwycające.“

Lecz niebawem pospiesza odwołać rozumny ten krok zapewniając, iż wzruszenia książkowe najboleśniejsze, takie nawet, które do łez doprowadzają osoby tkliwszego serca — opis śmierci tragicznej, złości ludzkiej, krzywdy — mimo wszystko „wolne są prawie od goryczy i sprawiają głównie rodzaj głuchego podniecenia umysłu, zapalają go raczej i unoszą aniżeli pognębiają.“ Owe *prawie* i *raczej* dosyć dziko brzmią w ustach pisarza, żądającego wszędzie ścisłości. Hennequinowi wielkiego honoru nie przynosi ten wynalazek jakiegoś *tertium* między tem co gorzkie, a tem co od goryczy wolne. Gwoli owemu *prawie* wzruszenia artystyczne *rdzennie* różnią się od rzeczywistych?! Trudno o logikę bardziej kulawą i grubo łudzi się ona, gdy ironicznie tryumfuje nad Leon Dumontem, który np. między uczuciami litości i wstrętu, płynącemi z patosu artystycznego, a takiemiż uczuciami, doznawanemi w życiu realnem, różnicy zgoła nie widzi.

Nie chodzi nam jednak o wyłuskanie jądra sprawy — w szkicu tak pobieżnym, lecz o wykazanie, na jak kruchych i chwiejnych podwalinach wspiera się przedwstępna część estopsychologii Hennequina. Szczęściem dla nas, wszystkie niemal dowody, którymi spodziewa się on skutecznie odgrodzić wzruszenia estetyczne od rzeczywistych, same zwracają się przeciw niemu, jeśli tylko zechcemy sprawdzić je zjawiskami i faktami, namacalnymi i dotykalnymi. Nasz autor, zapędziwszy się snadź w mędrkowanie oderwane, przeoczył je. Gdy mówi, że największe arcydzieła, jakie sztuka wydała, nigdy nie sprawiają przykrości dotkliwej, prawdziwego bólu, bólu, którego byśmy chcieli uniknąć — to ma widać na względzie tylko twórczość dotychczasową, która dopiero od wczoraj wyplątuje się z powijaków mdłego idealizmu i nie ma jeszcze odwagi malować tragedyi naprawdę realistycznie, ani też przedstawiać jej na scenie bez śmiesznych efektów, z rozmysłu jakgdyby psujących złudzenie. Gdyby jaki teatr spróbował sumiennie odegrać *Księżniczkę Maleńę* Maeterlinka, z pewnością chwila duszenia jej jedwabnym stryczkiem przez dwoje ukoronowanych morderców, wypłoszyłaby z widowni najbardziej trzeźwe i przytomne jednostki...

(D. c. n.).

Cezary Jelenta.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z POZNAŃSKIEGO.

1 maja.

Sejmik prowincyonalny.—Sprawa Towarzystwa ogniowego prowincyonalnego.— Towarzystwo pomocy naukowej. — Chrzest gmin.

Dnia 25 kwietnia został otwarty 27 sejmik prowincyonalny uroczystą przemową przez naczelnego prezesa Księztwa, bar. Wilamowitz - Möllendorfa. Na porządek dzienny weszła także bardzo doniosła sprawa rozszerzenia działalności prowincyonalnego Towarzystwa ogniowego na ruchomość; interesuje ona u nas cały ogół i dla tego pozwolę sobie jej parę słów poświęcić. Towarzystwo ogniowe prowincyonalne jest instytucyą niby autonomiczną, a rzeczywiście z autonomią nie ma nic wspólnego i dotychczasowe jego dzieje wcale niepomyślnie przedstawiają się dla tych, którzy są w niem głównie interesowani. Było ono bardzo drogie, a sprawowanie całej jego administracyi przez władze rządowe dawało radcom regencyjnym, landratom i komisarzom bardzo przyjemny dodatek do pensyj urzędowych, co wykluczało korzyści stowarzyszonych i krępowało swobodę ruchu, która jest pierwszym warunkiem stowarzyszeń ekonomicznych podobnego rodzaju. Właśnie ten szematyzm biurokratyczny, znoszący faktycznie wszelką autonomię instytucyi, która przecież ma opierać się na zasadzie wzajemności, a finansowo i ekonomicznie na ofiarach członków, głównie odstrasza interesowanych od rozszerzenia działań Towarzystwa również i na zabezpieczenia ruchomości. Poznań chce stanowczo wystąpić i stworzyć swe własne stowarzyszenie. Ma być jednak z niego zupełnie usunięty żywioł miejscowy, bez którego przecież porozumienie się z ludnością i poznanie jej interesów jest niemożliwe. Wszelkie zaś istniejące tu stowarzyszenia prywatne są tańsze o wiele od prowincyonalnego i pełne urzędników rekrutowanych wyłącznie wśród ludności miejscowej. Zdaje się tedy, że projekt ów w sejmie upadnie, gdyż ma przeciw sobie wszystkich.

Członkowie Towarzystwa pomocy naukowej imienia Karola Marcinkowskiego z miasta Poznania odbyli doroczne swe zebranie w bardzo nielicznem gronie. Na wstępie zaraz stwierdził prezes komitetu, dr. Święcicki, iż Towarzystwo musi walczyć z coraz większemi trudnościami i przeszkodami, polegającemi głównie na tem, że z każdym rokiem zmniejsza się liczba członków w Poznaniu, a tem samem ilość składek, tak iż dziś już istnieje obawa, czy ono będzie mogło nadal rozwijać swą pożyteczną i błogą w skutkach działalność. Z 69 stypendystów, pozostających pod opieką komitetu, uczęszczało w końcu roku ubiegłego do gimnazyum Maryi Magdaleny 42, do gimnazyum Fryderyka Wilhelma 4, a do szkoły średniej 23. Członków było w roku ubiegły 282 (14 mniej, niż w poprzednim). Do kasy komitetu wpłynęło w pierwszem półroczu 1,406 m. 50 fen., w drugiem 1,248 m. 50 fen., a na rok przyszły przeniesiono 120 m. Z po za Poznania wpływa do kasy 5% ogólnej składki. Dla ilustracyi, jakim zmianom uległa ilość

członków i stan kasy w ostatnich latach, podaję następujący wykaz:

W r. 1887 było czł. 295, składek wpłynęło 3,581,50 m.
„ 1888 „ „ 316 „ „ 3,466,50 „
„ 1889 „ „ 298 „ „ 3,146,47 „
„ 1890 „ „ 296 „ „ 2,877,50 „
„ 1891 „ „ 282 „ „ 2,654,50 „

Dokonano dalszego chrztu gmin miejscowych, których kilka łączy się w jedną i nowem oznacza je nazwiskiem. To ostatnie bywa zawsze tak różne od pierwotnego, iż w interesie historyi godzi się je tu przytoczyć. Gminy Pińsk i Wolwork zwą się od teraz *Wolwark*, Grzeczna Panna, Nowa Wieś i Bnin nazywają się *Schönmädel*, Niedźwiedź i Łętowo *Bärenbruch*, a jednak minister Herrfurth zapewniał swego czasu w parlamencie, iż polskich nazw nigdy się nie będzie zmieniać na niemieckie.

t. z.

GIMNASTYKA DLA RZEMIEŚLNIKÓW.

Ćwiczenia gimnastyczne pod najróżnorodniejszemi postaciami sportu, jak cyklistyczny, łyżwiarski i wioślarski, zaprowadzone od lat kilku u nas, zyskują z dniem każdym coraz więcej zwolenników. Sama gimnastyka w rozmaitych odmianach, jak np. szkolna, szwedzka, lecznicza — zostały przyjęte na stałą służbę naszej pedagogiki i hygieny. Wogóle obrona wyradniejących i otłuszczających się w bezczynności lub zanikających w jednostajnem życiu fachowem mięśni, zaczyna stawać się u nas potrzebą coraz żywiej odczuwaną. Mnożą się więc zakłady gimnastyczne dla ludzi różnej płci i wieku — dla mężczyzn, kobiet i dzieci. Wszyscy spragnieni jesteśmy jędrności ciała i żwawszego krwi obiegu. Samo życie pcha nas w objęcia wszechstronnych ćwiczeń fizycznych. Ono to, pokawałkowane społecznym podziałem pracy najemnej, długiej, zbywanej i kupowanej na funty i łokcie, od lat wielu i zwolna drążąc nasze ciała, jak kropla kamień, nadało im rozwój przesadny w jednych miejscach, skazało zaś na wieczny zanik — w innych. Na zdrowych, równomiernie rozwiniętych i otrzymanych po dzikich lub barbarzyńskich przodkach organizmach fachowość, spożytkowywana przez garstkę pasorzytów doby cywilizacyjnej, potworzyła narośle wypaczenia i niedorozwoju. Postępy wykoszlawienia członków i organów śledzili krok w krok badacze, którzy latami gromadzili promienie światła świadomości tego zła. Doprowadzeni do progu zaniku częściowego, dobici cyframi statystyki chorób zawodowych, zresztą gnani bezpośredniem uczuciem niewygody i dalszych jego następstw — cofamy się i szukamy teraz zbawienia: w salach gimnastycznych lub klubach sportu.

Ale odwrót w stronę prawidłowego wychowania fizycznego wykonywany częściowo, za nami, a raczej pod nami stoi nieruchomo cały tłum, który długo jeszcze dostarczać będzie statystyce i patologii materyału cennego. Do gimnastyki modlą się tylko ci, którzy z niej mogą rzeczywiście korzystać, ludzie mający sporo wczasu: garstka kobiet spaczonych fizycznie, biuralistów i literatów, zagrożonych atonią kiszek, inżenierów, prawników, „pryncypałów,“ którzy bojąc się, że stracą nogi, jeżeli za często wozić je będą razem z brzuchem w karetach, przypominają je sobie ruchem bicyklu. Wogóle więc gimnastyka była dotychczas u nas dobytkiem arystokracyi fachowców, gmin zawodowy do jej podwojów wstępu nie miał.

Teraz i on ma przestąpić próg zaklęty, ale przez drzwi nawpół otwarte i prowadzony na pasku filantropii i interesu pp. radców z sekcyi rzemieślniczej Towarzystwa popierania przemysłu i handlu. Od tych, którzy mają zwyczaj chociażby kropelkę dobrych chęci i okruszynę czynu społecznego kłaść na własnym nosie i z tej odległości je podziwiać, otrzymali już oni i wieńce i oklaski. My — z owacyą zaczekamy, tem bardziej, że pierwsza lekcya gimnastyki zbiorowej dla „młodzi rzemieślniczej,“ naznaczona na d. 1 maja w zakładach pp. Majewskiego i Olszewskiego miała być dopiero próbną. Na próbie mieli być obecni delegaci cechowi, na których włożono obowiązek zajęcia się wytworzeniem „stalszych warunków“ dla gimnastyki w warsztatach rzemieślniczych. Opłata za lekcye, wynosząca 10 kop. od osoby, ponoszona będzie przez majstrów. Dla kontroli, żeby pieniądze nie były użyte na inny cel, uczniowie mają być zaopatrzeni w marki. Owszem, bardzo pięknie! Ganić tego przedsiewzięcia niema racyi. Bardzo jest pożądanem, żeby najemnik dający pracę fizyczną, stał się zdrową i jędrną rośliną. Nawet marzeniem jego chlebodawców jest wprawdzie nie to, żeby z niego zrobić pięknego Apollina, ale przynajmniej silnego Atlasa. Żeby jednak pobożne życzenie stało się rzeczywistością, potrzeba na to wielu warunków. Potrzeba przedewszystkiem, żeby pp. majstrowie nauczyli się wprzód sumienności w posyłaniu terminatorów do szkół niedzielno-rzemieślniczych. Tego, ma się rozumieć, nie nauczą się dobrowolnie ale pod naciskiem grzywny, już zapowiedzianej urzędownie. Dopiero jak to abecadło przejdą gruntownie, zjawi się moralna rękojmia, że zbiorowe lekcye gimnastyki będą istotnie zbiorowemi. Nie dość na tem. Potrzeba jeszcze do osiągnięcia ostatecznego celu (wykierowania „młodzi rzemieślniczej“ na muskularnych, wytrzymałych na znużenie Atlasów), żeby terminatorzy mieli czem zasilać prawidłowo i wszechstronnie pobudzone ruchami gimnastycznymi mięśnie. Inaczej trudno je będzie odbudować. I ostatecznem, najtrudniejszem i najboleśniejszem dla naszej drobnej produkcyi cechowej zadaniem jest — skrócenie czasu pracy, który obecnie, skutkiem wyścigów z wielkim przemysłem, przedłuża się po za przyzwoity kres dlatego, żeby długością dnia roboczego zapewnić „kapitalikowi“ korzyści wydajności rąk, osiąganej przez kapitał inną drogą. Tylko wtedy, gdy terminatorzy codzień, a przynajmniej trzy razy na tydzień będą mieli możność gimnastykowania się, dojrzeją owoce pożądane: zdrowie i siła.

Zanim jednak zaczniemy ćwiczyć całe ciało rzemieślnika, ulżyjmy wprzód nieco pracy jego mięśniom fachowym i żywmy go lepiej. W przeciwnym razie budować będziemy dom w kierunku opacznym — od szczytu do fundamentu.

Z. A. F.

LIBERUM VETO.

Poszukiwanie swojskości. — Uruchomienie reporterów na prowincyę. — Rozmowa z Nenckim. — Jego odczyt. — Drogowskaz dla farmaceutów. — Zapis Wł. Kronenberga dla Towarzystwa dobroczynności. — Przytułek nędzy. — Sprawozdanie Towarzystwa subjektów handlowych. — Jeszcze sprawa „nadprodukcyi inteligencyi.“

Czytelnicy prasy warszawskiej pewnie zauważyli, że o ile ona dawniej podróżowała za granicami kraju, o tyle teraz drepcze po wszystkich jego ścieżkach i stara się usilnie zbierać rzeczy swojskie. Gdyby przed 25 laty powiedziano jakiemuś radcy Towarzystwa kredytowego, że jego portret z życiorysem będzie umieszczony w piśmie ilustrowanem, zawołałby swą żonę i spytał: moja duszko, czy ty będziesz dobrze umiała nosić koronę, bo zdaje mi się, że wkrótce obrany zostanę królem? Tymczasem dziś, gdyby Skublińska nie ujrzała swego narysowanego oblicza, oświadczyłaby w skardze apelacyjnej, że to powinno być dostateczną karą za jej winy. Rzecz naturalna, że przy tak nadmiernem zapotrzebowaniu swojskości musiało się otworzyć szerokie pole dla przedsięwzięć i poszukiwań reporterskich. Ale ostatecznie my nie możemy swoim jedynie materyałem życiowym zadowolić ciekawości własnej. Opowiemy żywot każdego prelegenta, każdej aktorki, każdego domku „z filarkami,“ każdego radcy, zbadamy, jak śpiewaczki operetkowe zapatrują się na Śniadeckich — no i niewiele nam już pozostanie w kopalni nowin. Zwłaszcza zaś rok obecny nie otworzył w niej nowych szybów. Wiercono tu i owdzie, ale co najwyżej znajdowano jakiegoś radcę lub domek „z filarkami.“ Tchnienia wiosny zawsze wyjaławiają niwę reporterską; więc jej uprawiacze i siewcy, dotknięci nieurodzajem, zaczęli wywędrowywać na prowincyę dla zbierania tam artykułów żywności dziennikarskiej. Splądrowali Łódź, Zgierz, Dąbrowę, teraz uwijają się nad Narwią przy nowej kolei.

W takiej właśnie porze manewrów armii reporterskiej na prowincyi, przyjechał do Warszawy Marceli Nencki, jeden z najznakomitszych dziś chemików świata, b. profesor uniwersytetu zurichskiego, a obecnie dyrektor w petersburskim Instytucie medycyny doświadczalnej. Ponieważ go nie znam, więc ciekaw byłem, jak wygląda. Przerzucam pisma ilustrowane, znajduję: wizerunki ludzi chodzących na szczudłach, radców Towarzystwa kred., pasażerów tramwaju wilanowskiego — wszelakich wreszcie bohaterów, tylko nie Nenckiego. Nawet nie spotykam wzmianki, gdzie mieszka, co jada, jakie nosi spinki.

— Czy podobna — pytam — ażeby żaden z reporterów, z tych, co *interview'ują* nawet anglików przejeżdżających przez Warszawę, nie nawiedził tak słynnego badacza?

— Naprzód są oni teraz w rozgonie—objaśnia mnie znajomy, który jest mojem biurem informacyjnem — a powtóre... jeden był u niego.

— No i cóż? Nie przyjął go?

— Owszem, ale rozmowa nie miała ciekawych momentów, a przytem zaszło małe nieporozumienie.

— Jakie?

— Reporter zasłyszawszy, że Nencki posiada wielką sławę w Europie i przyjechał do Warszawy z zamiarem wystąpienia publicznie, wziął go za śpiewaka i odrazu zagadnął, czy posiada wysokie *c*. — Posiadam — odrzekł chemik — nawet C_{20}, ale w połączeniu z $H_{34}O$ — jest to terpinol — i nie przy sobie. — Terpinol? — powtórzył reporter zdziwiony — chyba tenor.— Nie— odparł Nencki—takiego związku nie znam. Pan może masz na myśli terpentynę, ale to nie jest *c* najwyższe — C_{10} H_{16}. — W jakiej roli szanowny pan zamierza debiutować? — W roli farmaceuty. — U nas — zauważył reporter — nie grywają żadnej opery z taką rolą; chyba *Cyrulik sewilski*, ale to nie aptekarz. Prawie na tem — dodaje mój znajomy—rozmowa przerwała się.

Rzeczywiście Nencki wystąpił w Towarzystwie farmaceutycznem z wykładem, który odbija na sobie znamiona głębokiego umysłu i stawia nowe drogowskazy. W ogólnych, ale bardzo wyraźnych liniach nakreślił on główne rysy tego przełomu, który spełnia się obecnie w wiedzy przyrodniczo-lekarskiej i który musi dokonać przewrotu w aptekarstwie. Przedewszystkiem mnożą się coraz bardziej t. zw. specyfiki, tj. środki wynalezione dla pokonywania pewnych chorób, które szybko rozszerzają dziedzinę chemika, a ścieśniają dziedzinę farmaceuty. Ten ostatni traci racyę bytu i dlatego, żeby ją uratować, musi się zwrócić ku pierwszemu. Lekarz, wynoszący z uniwersytetu skromny zapas wiedzy chemicznej, której potem, pochłonięty

zajęciami praktycznemi, nie może uzupełnić, powoli usuwa się od niej zupełnie. Tymczasem medycyna coraz szerzej opiera się na hygienie, hygiena — na bakteriologii, bakteriologia — na chemii. Zachodzi więc potrzeba nowego podziału zadań i zajęć naukowych, oddania farmaceutom tych, któremi lekarz zawładnąć nie może. Aptekarz dzisiejszy musi przedzierzgnąć się w hygienistę, a raczej w chemika sanitarnego. Czy jednakże dotychczasowe ukształcenie otwiera mu tę drogę? Bezwarunkowo — nie. Ażeby na nią wstąpić, aptekarz powinien kończyć co najmniej sześć klas szkoły realnej z pewnem uwzględnieniem łaciny, a potem odbyć przynajmniej czteroletnie studya uniwersyteckie. W pierwszych dwóch latach uczyłby się przeważnie nauk przyrodniczych, ostatnie zaś poświęciłby pracom sanitarnym. Chemia organiczna i nieorganiczna, farmacya, farmakologia, bakteriologia itd. stanowiłyby główne umiejętności tego drugiego okresu. Tak przygotowany chemik dokonywałby wszelkich analiz — wody, gazów, artykułów żywności itd. — a nie ograniczał się do wyrabiania mikstur, proszków i pigułek, których użyteczność zresztą zanika.

Cały ten wywód znakomitego badacza jest wybornem oświetleniem sprawy, na którą nie padła dotychczas należyta uwaga. Rzeczywiście ostatnie zdobycze wiedzy przyrodniczo-lekarskiej, zwłaszcza zaś odkrycia bakteriologiczne nietylko rozszerzają widnokrąg nauki, ale tak dalece zmieniają kierunek starań praktycznych około zdrowia ludzkiego, że muszą wywołać odpowiednie zmiany w urządzeniach i zawodach społecznych. Nencki ma najzupełniejszą słuszność, że wobec mnożących się specyfików aptekarz traci grunt pod nogami i powinien go szukać po za dotychczasowym obrębem farmacyi, w pracy laboratoryjno-hygienicznej. Że myśl ta jest nowa, widzimy z faktu, że żadna u nas pracownia rozbiorowa, dokonywająca rozmaitych analiz, nie jest prowadzona przez farmaceutę. Jakie wnioski praktyczne wyciągną interesowani z odczytu i rad Nenckiego — to ich rzecz; zdaje nam się jednak, że ten głos nie przebrzmi na puszczy, naturalnie o ile jednocześnie wysłuchany będzie w sferach, władających oświatą publiczną. Bądź co bądź, chociaż szanowny gość posiada wysokie *c* tylko w związkach chemicznych i wystąpił w Towarzystwie farmaceutycznem, a nie Muzycznem, wdzięczni mu jesteśmy za ten pobyt.

Przyznać też trzeba, że rodzina Kronenbergów zasłużyła sobie u nas na szlachectwo obywatelskie. Począwszy od nieboszczyka Leopolda, a skończywszy na ostatnim jego synu, wszystko są to ludzie objawiający niezwykłą pomysłowość, energię i dobrą wolę. Wielki to ubytek dla społeczeństwa, że ona wygasa przedwcześnie. Stanisław dogorywa w nieuleczalnej chorobie, Władysław zmarł przed kilkunastu dniami, nie ukończywszy piątego dziesiątka lat życia. Można było mniemać, że on rozpłynął się całkiem w zamiłowaniu do muzyki i sympatyach francuskich, któremi nasiąkł przez żonę. Otóż nie. Schodząc do grobu, zostawił 250,000 rs w darze warszawskiemu Towarzystwu dobroczynności, które procentów od tej sumy ma używać na wypożażanie sierot zostających pod opieką tej instytucyi. Dziewczęta otrzymywać będą wiana, chłopcy — po skończeniu terminu — warsztaty. Jest to jeden z największych i najpiękniejszych zapisów, jakie społeczeństwo otrzymało w bieżącem stuleciu. Przybył zaś nowy dowód, że nie arystokracya rodowa wyłania z siebie filantropów, lecz mieszczaństwo i szlachta. Panowie z tytułami i herbami albo trwonią odziedziczone majątki, albo je powiększają skąpstwem, o jakiem nieraz przekupnie żydowscy nie mają pojęcia. Co najwyżej otwierają szczodrą rękę bądź dla swych krewniaków, bądź dla papieża na świętopietrze.

Fundusz Wł. Kronenberga ma swoje określone przeznaczenie, na poprawę zatem niedoli kalek i starców Towarzystwa dobroczynności nie wpłynie wcale. A jest to niedola rzeczywista. W brudnych, ciemnych i wilgotnych norach żyją setki biedaków, karmionych żebraczo. Są między nimi ludzie, którzy kiedyś używali wygód i pomimo łamania się nie mogą nawyknąć do tej nędzy bez powietrza, bez przyzwoitego jadła. Zarząd Towarzystwa narzeka na brak środków, a chociaż to nie usprawiedliwia brudu w przytułku i niedbałości o dobrze przyrządzaną strawę, jest w znacznej mierze przyczyną ubóstwa tego zakładu. Byłoby rzeczą bardzo pożądaną a dla ofiarności publicznej stanowiłoby pouczającą wskazówkę, gdyby ktoś obliczywszy obecne środki Towarzystwa i jego potrzeby, przedstawił ogółowi, ile ono musiałoby posiadać funduszów, ażeby mogło swym pensyonarzom dać ludzkie pomieszczenie i ludzką żywność. Może znowu jakaś Rapacka lub Kronenberg złożyliby kiedyś odpowiednią ofiarę i zasilili nią ten przybytek brudu i głodu.

Więcej, niż zwykle, odebraliśmy obecnie zażaleń na gospodarkę zarządu Towarzystwa wzajemnej pomocy subjektów handlowych i przemysłowych m. Warszawy. Już tę gospodarkę zganiła po części komisya rewizyjna, która w sprawozdaniu skarży się, że książki Towarzystwa „noszą charakter roboty pospiesznej, odręcznie sporządzonej w ostatniej chwili, a więc niedokładnej i pozostawiającej wiele do życzenia.“ Rzecz doprawdy dziwna: jeżeli jakie stowarzyszenie powinno prowadzić książki wzorowo, to chyba to, którego członkowie trudnią się taką czynnością zawodowo i posiadają specyalne do niej uzdolnienie. Akurat dzieje się przeciwnie. Nie dość tego. Zarząd w swojem sprawozdaniu ubolewa, że poszukujący posad za pośrednictwem jego „wydziału rekomendacyi pracy“ nie są należycie przygotowani — i sam zdradza albo nieumiejętność, albo lekceważenie swych obowiązków. Miejmy nadzieję, że to się zmieni. Ale zarazem zmienić się powinno wiele innych rzeczy. Najgłówniejszym i mocno podkreślonym wnioskiem sprawozdania jest smutny fakt, że w 25 gałęziach handlu u nas liczba pracowników jest niedostateczna, że do pewnych przeznaczeń (zwłaszcza wymagających gruntowniejszego ukształcenia fachowego) trzeba sprowadzać kandydatów z zagranicy. Niejednokrotnie już wyrażałem moje przekonanie, że nasze skargi na brak pracy należy przyjmować z wielką ostrożnością a nawet niewiarą, oraz że bardzo często mamy daleko więcej pracy, niż ludzi do niej uzdolnionych. Towarzystwo subjektów handlowych stwierdza ten fakt stanowczo, a ponieważ go widzi, uznaje i opłakuje, więc powinno złemu przeciwdziałać. Jak? Naturalnie kształcąc pożądanych specyalistów. Wątpimy wszakże, czy tego dokona przy obecnej gospodarce. Bo jeżeli na pensye i gratyfikacye wydaje rocznie 2,548 rs., na lokal, opał i światło 1,843, na materyały piśmienne i marki 496, na koszty ogólnego zebrania 326 (!), jeżeli przewyżka dochodów nad rozchodami wynosi tylko 163 rs., jeżeli nadto w roku bieżącym mają być opłacane chóry (!), to skąd wziąć pieniędzy na naukę, której przecie nikt darmo udzielać nie będzie? Pomijam szczegółową krytykę bilansu i budżetu, ale nie mogę pominąć uwagi, która się nastręcza przy „Sprawozdaniu“ Towarzystwa subjektów: odbija ono w sobie naturę naszego społeczeństwa i wszystkich jego stowarzyszeń — bardziej ciąży ku zabawie, niż ku działalności poważnej. Bawić się, bawić — krzyczy nasza młodzież, dzieci, mężczyźni, kobiety, starcy, kaleki, nędzarze, zrozpaczeni — wszyscy!

Przy sposobności należy uświadomić autorom Sprawozdania, że swą uniżoność wobec pracodawców posuwają zbyt daleko, drukując wszelkie odnoszące się do nich rzeczowniki, przymiotniki i zaimki dużemi literami. Chyba „Szanowny Urząd Zgromadzenia Kupców“ i jego „Przewodniczy“ a nawet najbardziej wymagający „Panowie Pryncypałowie“ nie rozgniewaliby się, gdyby „Takowych“ drukowano małemi czcionkami.

P. Chorąży nie został przekonany uwagami mojemi o jego wywodach w *Wieku* przeciwko „nadprodukcyi inteligencyi,“ co uważam za rezultat bardzo naturalny i ponownym wysiłkiem osiągać go nie myślę. Chcę tylko sprostować małą w tym sporze omyłkę. Twierdziłem, że w chwili, kiedy samo państwo ustanawia listę wstępujących do gimnazyów i do niektórych zakładów naukowych, walka z mniemaną „nadprodukcyą“ jest co najmniej spóźniona. „Szanowny mój przeciwnik — odpowiada na to p. Chorąży — pomieszał dwie kwestye *całkiem odrębne*, mianowicie sprawę wykształcenia średniego, gimnazyalnego, z kwestyą nadmiaru ludzi z ukształceniem wyższem, uniwersyteckiem.“ Otóż bynajmniej nie są one od siebie całkiem odrębne, gdyż do uniwersytetów wstępować mogą tylko ci, którzy ukończyli gimnazyum, a ponieważ oni na początku drogi są ograniczeni w liczbie, więc mniej ich być musi też na jej końcu. To jasne. „Dziwnym zbiegiem okoliczności — pisze dalej p. Ch. — p. Poseł Prawdy w jednym i tym samym fejletonie dowodzi, że nadmiaru inteligencyi u nas nie ma wcale, i zaraz potem boleje nad losem Kl. Junoszy, który pomimo wysokiego wykształcenia... itd.“ Sprzeczność ta wypłynęła z nieświadomości. Nie domyślałem się bowiem, że p. K. Junosza jest ofiarą swego wyższego ukształcenia, dla którego nie znalazł pola jako prawnik, filolog, lekarz, czy też matematyk. A może p. Chorąży wywnioskował ze swoich rachunków statystycznych, że utalentowanych powieściopisarzów mamy nadmiar i w tym nadmiarze tkwi niedola p. Junoszy?

Poseł Prawdy.

SPRAWY EKONOMICZNE.

NOWOCZEŚNI HUMANIŚCI ANGIELSCY.

Niezwykle ciekawą jest rzeczą, jak w Anglii, tym kraju prawowiernej ekonomii politycznej, podnoszą dzisiaj głowę prądy najrozmaitsze, wrogie tradycyom dotychczasowym. Przekonania, które jeszcze przed jednym lub dwoma dziesiątkami lat uchodziłyby tam za herezyę nie do przebaczenia, znajdują obecnie bardzo liczną rzeszę zwolenników. Jakiem winno być stanowisko państwa względem przebiegu spraw ekonomicznych, zagadnienie to jest jednem z tym, które najbardziej zaprzątają umysły i gorączkują opinię publiczną. Hasłem bojowem całego dzisiejszego przełomu jest walka przeciwko tak poważanej dotychczas w Anglii zasadzie, że państwo powinno zachowywać się obojętnie, pozostawiając stosunki społeczne ich własnemu żywiołowemu rozwojowi. Świeżo właśnie dostaliśmy książkę znanego „etysty,“ J. Robertsona *), w której znajdujemy też wypowiedziane tego samego rodzaju poglądy. Autor, przeplatając swoje wywody polemiką z odłamem krańcowym przekonań społecznych, rozwija plan reformy, polegającej na powołaniu do życia takich stosunków, które z biegiem czasu zmniejszyłyby nędzę u dołu, nadmiar zaś bogactw u góry. Punktem wyjścia jest dlań spłacenie długów państwowych. Czyn ten wraz z wykupem dróg żelaznych, przedsiębiorstw gazowych, tramwajowych i innych podobnego

*) *Modern Humanists.*

rodzaju, wyrzuciłby na rynek pożyczkowy mnóstwo kapitałów i następnie wywołałby znaczne obniżenie stopy pożyczkowej, co niższym szczeblom warstwy rentierskiej uniemożliwiłoby bytowanie bez pracy i tem samem zmniejszyłoby liczbę próżniaków w społeczeństwie. Dalej autor domaga się głębokiej reformy podatkowej, polegającej na zniesieniu wszystkich podatków spożywczych, a zatrzymaniu jedynie bezpośrednich — od dochodu. Ludzie, mający jakiś dochód dzięki własnej pracy, uiszczaliby ten podatek dopiero wtedy, kiedy ów dochód przewyższyłby pewną granicę minimalną, a przytem, w miarę jego wzrostu, podatek zwiększałby się stopniowo. Co zaś do wpływów bez wysiłku osobistego (np. renty ziemskiej, procentowej itd.), podatek, przy tej samej wysokości, wynosiłby daleko więcej, nawet je pochłonąłby. Urzeczywistnienie prawa do pracy Robertson uważa za dalsze a konieczne uzupełnienie, żadna bowiem poważniejsza próba reformy społecznej nie może bez niego się obejść.

Taki jest zarys reform społecznych w najbliższej przyszłości, podany przez jednego z przedstawicieli „ruchu etycznego,“ — ruchu, którego zachowawczość podnoszono już kilkakrotnie w łamach *Prawdy*. Z czasem zaś, kiedy pod wpływem powyżej wskazanych przekształceń produkcya uległaby zcentralizowaniu i równolegle z nią idącemu uproszczeniu, państwo mogłoby dalej poprowadzić wykup ujednostajnionych jej gałęzi. „Etyści“ w swojem własnem przekonaniu wynoszą siebie bardzo wysoko zarówno z powodu swojej „wszechstronności,“ jak i „podniosłości uczuć,“ nieznających zacietrzewienia partyjnego. Chcieliby stać w społeczeństwie po nad wszelkiemi klasami i przywoływać do współdziałania wszystkich. Przywłaszczają oni sobie nazwę „humanistów“ z końca wieku XIX. Otóż praca Robertsona zasługuje na uwagę, jako rozbiór poglądów dawniejszych „humanistów“ angielskich, tj. takich, których najenergiczniejsza działalność przypadła przed ukazaniem się etystów. Książka ta jest zbiorem odczytów, które autor miał w jednem z londyńskich kółek etycznych. Przesuwają się przed nami postacie Carlyle'a, Johna Milla, Matgusza Arnolda, Ruskina, Spencera, wreszcie amerykanina Emersona. Robertson jędrnie i nieraz bardzo trafnie kreśli fizyognomię umysłową tych myślicieli i ze swego punktu widzenia uważa ich za ojców szerszej myśli społecznej w Anglii, która dzisiaj znalazła najczystsze swe wyrażenia w różnego rodzaju „wszechstronności“ etystów. Opuszczamy Emersona, który za bardzo mało u nas jest znany, aby kogoś zdołał zainteresować, a nadto wpływy jego zanadto są słabe, ażeby warto się było nad nim zatrzymać. Podobnież znaczenie M. Arnolda jest zbyt ciasne; jego wystąpienia przeciwko szowinizmowi wyspiarskiemu anglików mogą posiadać wartość dla czytelnika miejscowego, lecz nie przedstawiają żadnej dla mieszkańców lądu.

Najostrzejszej krytyce Robertson poddaje Carlyle'a, tłomacząc się tem, że do dnia dzisiejszego o tym pisarzu krążą jeszcze najfałszywsze sądy. Klucza do zrozumienia działalności Carlyle'a krytyk szuka przedewszystkiem w dziedziczności fizyologiczno-duchowej. Był to zdaniem jego temperament nawskroś kaznodziei - proroka, który wciąż potrzebował grzmieć z całą energią przeciwko czemuś, mniejsza o to, czy miał jakiekolwiek o tem pojęcie. Nadzwyczaj ubogi umysłowo, powtarzał w ciągu wielu tomów kilka tych samych myśli, ale że czynił to z mocą i wiarą, przejmował czytelnika i nie nużył; nadzwyczaj jednostronny wszystko widział jakby w karykaturze i sam nigdy nie zaznał ani wewnętrznej harmonii, ani spokoju w wypowiadaniu sądów. Niezdolny do wszelkiej analizy i systematycznego a rozumowanego myślenia, rzucający się z zapienionemi ustami na wszystko, do czego nie był zdolny, z całą namiętnością wypowiedział walkę wszelkiemu racyonalizmowi. W swoich pracach historycznych umiał jedynie kreślić obrazy, lecz tok logiki dziejowej pozostawał dla niego tajemnicą. Jego prace o Fryderyku Wielkim lub Cromwellu albo o Rewolucyi francuskiej w gruncie rzeczy nie posiadają wartości naukowej, są to pamflety na teraźniejszość, urągania z niesympatycznych dążności i wylewy uczucia, przyodziane w formę książki historycznej, a przeplatane nader żywem i energicznem przedstawieniem tej lub owej postaci albo zdarzenia. Niewielu historyków zdobyło się na większą malowniczość i niewielu chyba mozoliło się więcej nad doborem epitetów, ażeby nadać życie i wyrazistość pewnej osobie. Atoli po za kilku ulubionymi bohaterami innych traktował w sposób niemal pogardliwy, wprost lekceważący. Dzięki temu sam opis wypadków tak daleki jest od prawdy, jak różne smoki i inne rzeźby świątyń średniowiecznych od żyjącej rzeczywistości. Myśl jego była jakby wklęsłem zwierciadłem, w którem wszystko przybierało kształty wykoszlawione. A nad tą właściwością górował popęd kaznodziejski i ton namiętny. Możnaby o nim powiedzieć to samo, co on wyrzekł o kimś innym, mianowicie iż rozpoczął nie od przekonywania słuchaczów, lecz od oszołomiania ich, a kiedy raz wstąpił na tę drogę, nie miał mocy cofnąć się. Musiał wprawiać w podziw — stało się to dlań koniecznością, aż wreszcie zaczął mniej dbać o to, co miał powiedzieć, a więcej o to, w jaką szatę przyodziać swoje zdanie, aby wyglądało efektowniej. Teorye jego i poglądy były pełne sprzeczności, a filozofia — jednem wielkiem nieporozumieniem. Wybornie uwidocznia się to w jego krytyce społecznej, która zjednała mu miano sfinksa, gdyż podobnie nieokreślone dawał rady. Jego rzucania się na mamonizm są szeregiem klątew, z których tylko jedno można było pojąć, że „coś“ wypadałoby przedsięwziąć. A wszystkie te strony ujemne wzrastały w miarę tego, jak posuwał się w lata. Z radykała zwolna zmienił się na zachowawcę, jeżeli można jego ideały nazwać zachowawczymi. Cezaryzm stał się wtedy jego marzeniem, byleby tylko ów Cezar wszechwładny był silny duchem, a nadto kierował też dziedziną produkcyi i podziału dóbr materyalnych. Jakim więc sposobem tego rodzaju człowiek, pełen sprzeczności oraz dziwacznych urojeń, zdołał przez lat wiele — pyta Robertson — wywierać olbrzymi wpływ na najlepsze umysły swojego czasu i stać na czele ruchu humanitarnego? Odpowiedź na to znajduje on w tem, że Carlyle był olbrzymią potęgą moralną, naturalnie kiedy uderzał w słaby punkt istniejącego porządku. Kiedy ekonomia polityczna z najpostępowszymi ludźmi owego czasu dla nędzy społecznej miała tylko jedno zdanie, mianowicie że „świnia winna nie kwiczeć, kiedy ją zarzynają,“ Carlyle z całą potęgą swojej namiętności wystąpił w obronie tego prawa do kwiczenia; kiedy wszyscy byli oczarowani wzrostem produkcyi i bogactwa a w wolnej konkurencyi widzieli najdoskonalszą maszyneryę, on znowu wykazał nicość tych złudzeń; kiedy inni oczekiwali zbawczych skutków od zapanowania sobkostwa indywidualnego, on napiętnował egoizm jako źródło rozkładu społecznego. Te właśnie czyny zapewniają mu wdzięczność dalszych pokoleń i czynią go jednym z najwybitniejszych przedstawicieli nowoczesnego humanizmu.

Wiele podobieństwa z nim przedstawia inny humanista angielski, żyjący jeszcze a będący w pełni wpływów swoich, John Ruskin. Zdaje się, iż oryginalna ta osobistość jest u nas nieznana nawet z nazwiska. Kiedy autor *Łatacza odłatanego* był przedewszystkiem prorokiem-kaznodzieją, Ruskin jest naturą wciąż, pożądającą wyrafinowanych wrażeń estetycznych. Z tego powodu z najwyższym wstrętem spogląda na wszelką analizę i systematyczne poszukiwania. Jeżeli spostrzega jakąś zależność pomiędzy zjawiskami, czyni to jedynie przez intuicyę i tylko dzięki niej oraz nadzwyczaj subtelnej wrażliwości artystycznej chwyta związek pomiędzy przedmiotami tam, gdzie oko zwykłego, chociażby nawet sumiennego spostrzegacza nic a nic nie dojrzy. Najmniejszy szczegół jaskrawy uderza jego wyobraźnię i podnieca ją do snucia wciąż coraz dalszych skojarzeń, tak iż daje nam cały obraz pewnych stosunków w społeczeństwie, zawieruszony gdzieś wśród roztrząsań czysto artystycznej natury. Brudna i nieestetyczna zagroda, która gdzieś stoi przy kolei żelaznej, doprowadza go do skreślenia mechanizmu ludzkiego kolei żelaznej, a następnie mechanizmu całego ustroju nowoczesnej industryi, do wykazania całej bezmyślności życia ludzkiego w takiej codziennie jednostajnej pracy bez wrażeń estetycznych, do odmalowania nędzy robotniczej i zatonięcia duszy kapitalistów w zysku i trawieniu, do wyśmiania dzisiejszych miast, tego brudnego a cuchnącego stoku nieczystości, plamiącego nieskażone łono przyrody. Ruskin traktuje te widoki jako narosty nieestetyczne w społeczeństwie, a całe jego oburzenie jest gniewem natury artystycznej, której przerwano rozkosze estetyczne rzuceniem przed oczy przedmiotów plugawych. Jego zdolności i studya estetyczne nadały mu olbrzymią umiejętność wynajdowania i przedstawiania obrazów z dzisiejszego życia przemysłowego, które Carlyle zawsze rozpatrywał jedynie ze strony moralnej. A te rysy nieestetyczne dzisiejszej doby dziejowej, wypływające coraz częściej przed wzrokiem Ruskina, doprowadziły go wreszcie do systematycznego zajęcia się kwestyą społeczną i do wypowiedzenia walki źródłom owej brzydoty życiowo-społecznej oraz ich obrońcielce, ekonomii politycznej. Zresztą z góry można przewidzieć charakter tej szermierki estetyka angielskiego. Wyobraźnia stanowi jedyne źródło jego krytyki; dopóki więc przedmiot jest dość prosty, wywody są słuszne. Atoli jak tylko sprawa staje się nieco zawilszą i wymaga czegoś więcej, niż intuicyi, zniecierpliwiony Ruskin wybucha oburzeniem i wikła się wprost w niedorzecznościach. Wymownie np. przedstawia on wszystkie strony ujemne dzisiejszego trybu produkowania; skoro zaś dojdzie do znaczenia dziejowego maszyneryi społecznej tegoczesnej i jej biegu rozwojowego, wtedy wypowiada tylko naiwnie dziecinne poglądy. Przytem daremnie oczekiwalibyśmy jakiejś konsekwencyi. Nastrój tego krytyka-reformatora zmienia się co godzina, a wraz z nim i sposób sądzenia o rzeczy — co wczoraj było czarne, to dzisiaj może wyglądać biało. Jedynie niechęć jego ku ekonomistom i wszelkiego rodzaju analitykom jest stała, przytem w napaściach nie baczy on na słuszność, lecz przedewszystkiem chodzi mu o znalezienie kozła ofiarnego. Dzisiaj Ruskin ma przeciwko sobie ekonomistów, ludzi nauki, demokratów, wogóle wszystkich, którzy w ten lub inny sposób zastanawiali się nad jego sądami. Wprawdzie posiada też mnóstwo zwolenników, zwykle ludzi nader wrażliwych, z wyrobionym smakiem estetycznym, lecz niezdolnych do wszelkiego czynu. Wszystko, co chce działać, stoi zdala od niego, gdyż z pośród chaosu sprzeczności niepodobna wydobyć żadnej myśli przewodniej. Takim jest pisarz, bezwarunkowo dzisiaj najbardziej wpływowy w Anglii. Wraz z Carlylem stanowi on jakby jedną istotę, tylko że mistrz wszystko ogląda z moralnego, uczeń z estetycznego punktu widzenia.

Zupełnie odmienną naturę przedstawia trzeci — John Mill. Jest to osobistość dwoista, która nigdy nie może się zdobyć na sąd stanowczy, a zawsze musi urządzić jakąś syntezę kilku, niekiedy bardzo różnych.

Wychowany w żelaznym uścisku studyów czysto logicznych pod kierunkiem ojca, fanatyka racyonalizmu, buntował się uczuciowo przeciwko temu skoszlawieniu. Wybuch ten zbliżył go na czas powien do Carlyle'a. Lecz kiedy pomimo swojej dwoistości pozostawał wierny poglądom radykalnym, stając po stronie niewolników itd., Carlyle zaś porzucał młodzieńcze swoje stanowisko i zwolna dochodził do poglądów o prawowitości niewoli, przyjaźń się zerwała. Prorok-moralista niebawem zaczął spoglądać z pogardą na dawnego przyjaciela, a gdy wyszła *Autobiografia* Milla, scharakteryzował ją, a zarazem jej autora, że „życie jego jest to żywot logicznie uderzającej sprężyny, autobiografia zaś przedstawia biografię parowej maszyny.“ Robertson w swoim szkicu kładzie główny nacisk na eklektyzm Milla, który już występuje od czasów najwcześniejszych i nieraz jego młodych rówieśników wprowadzał w błąd, po czyjej stronie stoi autor *Logiki*. Nie będziemy wraz z krytykiem rozpatrywali działalności umysłowej Milla, zaznaczymy tylko, że Robertson jako główną jego zasługę stawia wprowadzenie przezeń kwestyi roboczej do ekonomii politycznej i rozpatrzenie jej nie ze stanowiska interesów produkcyi, lecz umysłowo-moralnego dobrobytu kraju. Między innemi usiłuje też osłabić wygórowane mniemanie o uzdolnieniach żony Milla, wywołane dzięki sądom tego ostatniego, chociaż przypisuje jej wielkie zasługi — w innym względzie. Był to umysł jednostronny, lecz trzeźwy. Mill, który zawsze potrzebował ulegać czyimś wpływom, w ten sposób miał nad sobą pewnego dozorcę, niedozwalającego mu dać się porwać pierwszemu lepszemu wrażeniu.

Wreszcie, przechodząc do Spencera, Robertson chłoszcze go nadzwyczaj ostro za jego stanowisko wobec dzisiejszej kwestyi społecznej. Między innemi (używając stylu Spencerowskiego) mówi o autorze *Filozofii syntetycznej*, że jest istota zgoła nieprzystosowana umysłowo do obecnej fazy historycznej i niepojmująca jej wcale. W teoryach jego widzi jedynie usprawiedliwienie dziejowego egoizmu, który zapytany mógłby odpowiedzieć słowami epigramatu przeciwko torysom. „Co robiłeś podczas wojny? W rzeczywistości nic nie robiłem, ale za to z tego niczego wywiązywałem się dobrze.“ Mimowoli nasuwa się pytanie, jakim sposobem Spencer mógł znaleźć się jako humanista w tym samym rzędzie, co Mill, Carlyle lub Ruskin. Robertson sam czuje słuszność tego zarzutu i usprawiedliwia się, iż chociaż Spencer faktycznie jest przeciwnikiem humanizmu, jednak swojemi pracami dostarczył mu metody postępowania i pomógł do zrozumienia istoty społecznej, mianowicie iż życie społeczne rozwija się powolnie i że najważniejszem źródłem jego zmian jest przerobienie pojęć i uczuć ludzkich. W ten sposób uzupełnił on wskazówki istotnych humanistów...

Z tego rzutu w przeszłość możemy wyrobić sobie pewne pojęcia i o dzisiejszym humanizmie „etystów.“ Nie szukają oni swojego rozwodu w posuniętym kulcie wolnej umysłowości i krańcowego altruizmu owenistów, ani w męzkim programie czartystów. Wysuwają na przód eklektyka Milla, czczego moralistę Carlyle'a, wreszcie Spencera — za jego analizę rozwoju.

J. Wojewódzki.

PRZEMYSŁ HANDEL I FINANSE.

Cła. W komitecie ministrów rozpatrywany będzie wkrótce memoryał o cle od zboża, wywożonego za granicę. Środek ten zmusi państwa zachodnio-europejskie do zmniejszenia ceł od zboża ruskiego, wprowadzonych dla podtrzymania miejscowego rolnictwa. Sumy otrzymane z ceł wywożonych winny posłużyć do powiększenia państwowego kapitału żywnościowego i do urządzenia publicznych magazynów zapasowych, oraz do ulepszenia różnych urządzeń, służących do przechowywania zboża na drogach żelaznych i do dostawy jego na rynki zbytu.

Żyto duńskie. W celu obeznania rolników z nowym gatunkiem żyta, noszącym nazwę duńskiego, ministeryum dóbr państwa poleciło dokonać posiewy w wielu miejscowościach państwa. Żyto duńskie przez długi czas uprawiane było w stacyi doświadczalnej jednej z ferm gubernii moskiewskiej i dawało corocznie doskonałe rezultaty; otrzymano niezwykle wielkie ziarna; waga czetwerti dochodzi do 10 pudów.

Rybołówstwo. W ostatnich latach postępowe rybołówstwo u nas znacznie się rozwinęło i daje niemałe korzyści szczególnie tam, gdzie hodowla ryb racyonalnie jest prowadzona. Oprócz znanych stawów w Rykach, należących do hr. Jezierskiego, gdzie rybołówstwo przynosi rocznie 10,000 rs., istnieje nie głośna jeszcze, a już dobrze procentująca hodowla ryb w Przytocznej pod Kockiem, majętności p. Kuszla. W roku zeszłym wykopano i zarybiono tam nowy staw, przestrzeni około 30 morgów. W powiecie garwolińskim w dobrach Siedzów, majętności p. Daszewskiego, jeziora i stawy na przestrzeni czterech wiorst, produkują rocznie do 16,000 funtów ryb, szczególnie karpi, tak zwanych złotych, dochodzących do 28 funtów wagi. W Przytocznej i Siedzowie rybołówstwo eksploatują sami właściciele.

Bazar rzemieśiniczy. Niedawno, dzięki staraniom p. Józefa Montwiłła, członka zarządu Banku ziemskiego, tudzież p. Lego, powstał w Wilnie, jak donosi korespondent *Wieku*, Bazar wyrobów rzemieślniczych wileńskich. Umieścił on przedmioty już przeszło 60 rzemieślników, wyłącznie chrześcian. Zadaniem jego jest dostarczać publiczności tamtejszej tylko wyroby wzorowo wykonywane i z dobrego materyału. Rzemieślnik uczestniczący w „Bazarze“ płaci zaledwie 10% komisowego, podczas gdy różnym przedsiębiorcom handlującym, żydom, najczęściej oddaje swe wyroby za bezcen. Owe 10% „Bazar“ pobiera od sumy, za jaką przedmiot zostaje sprzedany; w razie niesprzedania towaru i zabrania go przez rzemieślnika, ten ostatni płaci tylko 4% od ceny szacunkowej, bez względu na czas trzymania go. Najwięcej znajduje się w „Bazarze“ wyrobów stolarskich, mocno i elegancko wykonanych; zajmują one kilka pokojów i cieszą się ogromnym popytem. Oprócz tego bardzo licznie nagromadzone są wyroby tapicerskie, rymarskie, szewckie, blacharskie itd.

Elewatory. W liczbie robót publicznych, przedsięwziętych w celu udzielenia pomocy ludności dotkniętej nieurodzajem, do najgłówniejszych należy budowa elewatorów, na co przeznaczono 2,200,000 rs. Dotąd przystąpiono do wznoszenia magazynów mogących pomieścić do 300,000 pud. zboża, w Samarze, Uzlowej i Orle, jedenastu po 200,000 pudów, a między innemi w Penzie, Morszańsku, Łozowej, Woroneżu, Borysoglebsku, Orenburgu, Charkowie, Niżnym-Nowgorodzie, a nadto wybudowanych ma być 41 mniejszych magazynów.

Jarmark na konie. Kupcy, handlujący końmi, występują z projektem urządzenia stałego jarmarku na konie w Warszawie. *Dziennik łódzki* wykrzykuje, że jest to zamach na Łowicz, gdyż w projekcie powiedziano, że jarmark powinien się odbywać w drugiej połowie września, tj. właśnie w porze, gdy na „św. Mateusza“ od lat kilkudziesięciu przypada łowicki.

Łódź. Obecna pora „międzysezonowa,“ trwająca od początku czerwca, odznacza się zawsze spokojem i zupełną prawie bezczynnością w tranzakcyach łódzkich. Trochę kupców przybywa jedynie z gubernii wołyńskiej i podolskiej, jako nabywcy tańszych gatunków wyrobów bawełnianych. Fabryki pracują normalnie i przemysł tutejszy z niepokojem oczekuje wiadomości ostatecznych o urodzajach w Cesarstwie, od którego zależą w zupełności rezultaty kampanii fabrycznej tegorocznej w sezonie zimowym. Obecnie czynią się niejakie przygotowania na dwa najbliższe jarmarki w Łęcznie i Jarmolińcach; szczególnie ta ostatnia miejscowość jest obszernym rynkiem zbytu dla niektórych wyrobów łódzkich. Od jarmarku jarmolińskiego zależy w pewnym stopniu popyt na towary zimowe, w fabrykach łódzkich wyrabiane.

Nowe towarzystwo. W Kijowie ma powstać wkrótce „południowo-ruskie towarzystwo popierania rolnictwa i przemysłu rolnego,“ którego zadaniem będzie ułatwienie sprowadzania produktów przemysłu rolnego i artykułów spożywczych rolnikom gubernii kijowskiej, podolskiej, wołyńskiej, chersońskiej i besarabskiej, po możliwie nizkich cenach i dobrych gatunkach, oraz wyszukiwaniu dobrych rynków zbytu dla produktów rolnych. Towarzystwo ma prawo otwierać zarówno w kraju jak i za granicą sklepy, magazyny i agentury komisowe dla kupna i sprzedaży. Oparte jest na akcyach. Uczestniczyć w niem mogą wyłącznie chrześcianie i poddani ruscy.

Zaliczki na zboże. Kolej Nadwiślańska upoważniona została do wydawania zaliczek na wszelkiego rodzaju zboże, z wyjątkiem mąki. Nie mogą one przewyższać 60% cen targowych zboża, notowanych w Warszawie lub Gdańsku. Rachunki kolej załatwiać będzie z kantorem banku państwa, który w tym celu otworzył kredyt do wysokości 300,000 rs.

Fabryka akcyjna narzędzi i machin rolniczych istniejąca przeszło ćwierć wieku w Warszawie przy ulicy Czerniakowskiej, róg ulicy Rozbrat, pod firmą „Zygmunta Ostrowskiego,“ w dniu 16 b. m. wstrzymała ostatecznie ruch wszystkich warsztatów, które zatrudniały w ostatnich miesiącach 120 robotników. Przed kilku laty fabryka owa zatrudniała około 500 osób.

Zjazd gorzelników. W ministeryum skarbu, jak donoszą *Nowosti* rozstrzygnięto twierdząco sprawę zwołania 1-go zjazdu wszechruskiego gorzelników i przemysłowców gorzelnianych, dla wyjaśnienia obecnego położenia i potrzeb gorzelnictwa w Rosyi. Zjazd zwołany będzie w Moskwie, 22 czerwca 1892 roku.

Z rynku.

Zboże. Wiosna w roku bieżącym zawitała w Rosyi później, niż zwykle, skutkiem czego na południu roboty polowe nietylko się opóźniły, ale z powodu chłodów marcowych były w części zupełnie zawieszone. Na północy wcale ich jeszcze nie rozpoczęto. Okoliczność ta utrudnia dokładne zbadanie stanu zasiewów ozimin. Wysokie też ceny zboża, spowodowane nieurodzajem, utrzymują się na dawnym poziomie. Mimo to wszakże organ ministeryum skarbu cieszy się myślą, że nastrój zniżkowy, powstały jeszcze w końcu listopada r. z., ciągle rosnąc z nieznaczną przerwą w styczniu r. b., w marcu dosięgnął szczytu i wyraził się powszechnym spadkiem cen wszystkich gatunków zboża. Najbardziej staniały z nich te, które, jak np. żyto i owies, najenergiczniej podnosiły się uprzednio w górę. Zniżka ta w marcu dochodziła 15—20 kop. na pudzie. W Warszawie pud pszenicy ceniono 5 stycznia 128—150, 2 lutego — od 127 do 147, 1 marca — od 122 do 145, 1 kwietnia od 117 do 147. Pud żyta 5 stycznia wart był od 125 do 135 k., 2 lutego od 130 do 135, 1 marca od 123 do 126, 1 kwietnia od 110 do 120. Pud owsa 5 stycznia od 78 do 97 k., 2 lutego od 76 do 94, 1 marca od 74 do 94. Ten spadek cen, zdaniem *Wiestnika finansów*, daje się tłomaczyć tem, że zasoby ziarna, niezbędnego na wyżywienie i obsiew pól, okazały się dostatecznymi. Nadto, z otwarciem żeglugi na Wołdze, Donie i rzekach syberyjskich spodziewaną jest jeszcze większa zniżka, gdyż z prowincyi naddońskiej, z Kaukazu i Syberyi rynki oczekują ogromnego dowozu. Tymczasem Odesa już teraz wessała w swoje składy sporo zboża besarabskiego i naddniestrzańskiego. Wypompowywali je kupcy, którzy w nadziei, że w najbliższej przyszłości cofnięty zostanie zakaz wywozu zboża za granicę, skrzętnie je gromadzili. Paleni niecierpliwością, chcieli tę błogą chwilę przybliżyć, ale kilka komitetów giełdowych prosiło w ich imieniu o to — i bez skutku. Podobno zakaz zdjęty będzie naprzód z owsa i kukurydzy. Zapasy zbożowe w portach nie przestaną przeto być zmorą gnębiącą ceny, które kurczą się coraz więcej. Stąd też podaż ziarna prześciga o wiele popyt na nie, gdyż nabywcy w nadziei jeszcze dalszej zniżki wstrzymują się z zakupami.

W Warszawie w styczniu sprzedano: pszenicy 71,010 pudów, żyta 215,850, owsa 154,260, jęczmienia 43,370, kukurydzy 21,350; w lutym pszenicy 45,750, żyta 122,000, owsa 113,400, jęczmienia 33,080, kukurydzy 18,910; w marcu pszenicy 25,620, żyta 105,020, owsa 130,540, jęczmienia 23,790 i kukurydzy 57,450 p.

Spożywcy zboża mogą pokładać nadzieję nietylko w zapasach zeszłorocznych, więzionych zakazem wywozowym, ale i w widokach na urodzaj przyszły. Dotychczas widoki te mają być po większej części dość różowe w Europie zachodniej. W Wielkiej Brytanii wzrost ozimin utknął: zboża wczesnego siewy są piękne, ale późnego skutkiem chłodów wyginęły, przez co obszar zasiewny znacznie zeszczuplał. Z tej strony więc nie ma nadziei. Za to chociaż w najbardziej zbożodajnych północnych departamentach Francyi zasiewy są gorsze, ale natomiast w południowych piękne. W Belgii i Holandyi zadawalające. W Niemczech pszenica późnego siewu jest niezadawalającą, pszenica zaś wczesnego siewu i żyto zniosły bez szwanku mrozy i wogóle są średnio dobre. W Austryi są dobre, ale w w Węgrzech niezadawalające. Na półwyspie Bałkańskim, w Hiszpanii i Portugalii zasiewy są w stanie pocieszającym, ale we Włoszech nie zupełnie zaspokoić mogą życzenia. W Unii północno-amerykańskiej oziminy skutkiem chłodów wyglądają marnie, chociaż jest nadzieja, że przyjaźniejszy zbieg wpływów atmosferycznych w przyszłości je poprawi. W Indyach Wschodnich urodzaj pszenicy jest pomyślny, miejscami zaś plon zebrany niezwykle obfity, ale skutkiem uszczuplenia obszaru zasiewnego jest mniejszy, niż w roku zeszłym. W Algierze skutkiem suszy zboża cierpią; w Marokko są dobre. Do tej pociechy dołącza się jeszcze inna — że równie na zachodnio-europejskich rynkach, jak i na ruskich, w marcu dawała się uczuwać cisza; że ceny ciągle spadają, a dowóz zamorski wciąż wzrasta.

Targi warszawskie. Na placu Witkowskiego (d. 3 maja) pszenicy ofiarowano 700 korcy, a żyta — 50. Popyt był mały, obrotów na żyto nie było żadnych. Pszenicę kupowano tylko wyborową po cenie 8,50 do 8,66 za korzec. Owsa nie dowieziono wcale.

— Na Pradze „usposobienie" było również spokojne. Dowóz wogóle wynosił 19 wagonów. Za żyto wyborowe płacono 116—118 k., za średnie 112—115.

— Zapas składów tranzytowych na Pradze wynosił 721 wagonów, ceny zaś były następujące: Pszenica 115—130, żyto 106—115, jęczmień 80—93, owies 80—98, kasza jaglana 128—145, kukurydza 65—66, groch 106—125.

Nafta. Przy cenie za towar *loco* 20 k. bez kosztów w Carycynie, usposobienie w dalszym ciągu było słabe.

Rynek pieniężny. Berlin, 3 maja. Z początku kurs rubla spadł do 213,50 w umowach na dostawę, ale zniżka nie posunęła się dalej. Banknoty ruskie chwilowo straciły 55 fenigów w obrotach natychmiastowych, w dostawowych zaś — 75.

— Listy zastawne ziemskie spadły o 20 kop., likwidacyjne — o 60.

— Ruble w gotówce 214,85, na dosatwę 215,25.

KRONIKA.

Święcenie niedzieli. Sprawa wypoczynku niedzielnego, poruszona u nas przez subjektów handlowych — naprzemian to się wynurza z zapomnienia, to tonie w niem. Ciekawe są ostateczne wyniki podjętych na jej rzecz starań. Na 5,650 odezw, przesłanych przez Towarzystwo subjektów handlowych do pryncypałów, otrzymało ono zaledwie 188 odpowiedzi. W 126 z nich wyrażona jest przychylność do projektu, 11 pochodzących od kupców handlujących artykułami spożywczymi tchnie wstrętem, 30 oświadcza się za połowicznem rozwiązaniem zagadnienia, tj. zaleca dyżury zamiast całkowitego święcenia dnia wypoczynkowego; 14 woła niesfornym chórem sprzecznych głosów, 7 pochodzi od osób prywatnych, popierających gorąco sprawę. Teraz dopiero okazuje się, że w tak pokawałkowanym i różnożywiołowym organizmie, jak jest nasz światek przemysłowo-kupiecki, jednolite i ścisłe przeprowadzenie wypoczynku niedzielnego staje się niezmiernie trudnem. Staje temu na zawadzie między innymi różnowyznaniowość. Znaczna część kupiectwa warszawskiego ze względów religijnych święci sobotę, którą chce powetować w niedzielę.

Faktycznie więc w większości wypadków wypoczynek jednodzienny istnieje. Z drugiej zaś strony przewidzieć łatwo, że kupcy nowozakonni z wielką niechęcią odmówią hołdu wszechwładnej konkurencyi i dadzą się nakłonić do zamykania sklepów w dzień, który pójdzie na pożytek starozakonnych, wypoczętych w sobotę. Prawdopodobnie więc święcenie niedzieli tylko teoretycznie pozostanie hasłem powszechnem dla najemników inteligentnych, w życiu zaś tak pstrem, pełnem sprzeczności upowszechnienia nie znajdzie. Mimo to zarząd Towarzystwa subjektów handlowych postanowił na rocznem ogólnem zebraniu przedstawić następujący wniosek do zatwierdzenia:

„Ogólne zebranie zechce upoważnić zarząd do zwołania narady dla powzięcia opinii i decyzyi w sprawie święcenia niedzieli przez pracowników handlowych i przemysłowych, na którą to naradę zarząd ma zaprosić niektóre osoby z pomiędzy pracodawców (rozumie się znanych z dążności humanitarnych), członków Towarzystwa i innych osób."

Samo żądanie wypoczynku niedzielnego objaśnione jednogłośnie przez subjektów, jest niewątpliwie dowodem ich łączności, stanowiącej dziś bardzo ważną dźwignię, w rozwoju społecznym. Przyznać jednak trzeba, że wobec okrojenia tego żądania przez rzeczywistość, byłoby błędem poprzestawać na niem i trzymać się go jako jedynej deski zbawienia. Zakres potrzeb pp. subjektów, zacieśniony wyłącznie do samego wypoczynku niedzielnego, zaiste byłby wówczas bardzo wąski, chociaż w gruncie rzeczy jest nader rozległy. Zrozumiał to p. K. Sękowski i zawczasu przypomniał swoim towarzyszom (w *Kur. warsz.*), że powinni żądać jeszcze: „zakładania kas przezorności i pomocy z udziałem pryncypałów (!?); ograniczenia godzin pracy po kantorach i sklepach, a szczególniej korzennych i kolonialnych, gdzie subjekci są na nogach na usługi publiczności od godziny 7-ej rano do 12-ej w nocy, a prawie bez przerwy; rewizyi kantorów i sklepów pod względem urządzeń sanitarnych, w których ludzie pracy oddychają większą część dnia."

Żądania te są najzupełniej słuszne i pochwały godne. Zrobilibyśmy tylko poprawkę w pierwszem z nich: niech kasy przezorności i pomocy nie będą miały paska patronalnego, na którym mogą być zaprowadzone gdzie nie potrzeba.

Sprawy społeczne. Dzienniki petersburskie donoszą, iż sprawa wypoczynku w dnie świąteczne jest bliską rozwiązania, kupcy otrzymują już zawiadomienia, że prowadzenie handlu w te dnie będzie wzbronione.

— Ministeryum spraw wewnętrznych poczyniło starania o wprowadzenie przepisów, dotyczących praw i przywilejów kobiet na kresach (w gub. północno-zachodnich i w Królestwie Polskiem), służących w instytucyach pocztowo-telegraficznych.

— Straty wyrządzone przez powódź w pow. sandomierskim obliczają na 53,700 rs.

— Ministeryum spraw wewnętrznych w tych dniach zatwierdziło warunki polisowe warszawskiego Towarzystwa ubezpieczeń „Przezorność."

— W Warszawie zawiązuje się spółka dla otwarcia biura rolniczego, które ma pośredniczyć w załatwianiu wszelkich interesów ziemian.

— Z 1,200 kandydatów, zapisanych w biurze kolonij letnich, zaledwie 500 wyjedzie na wieś, reszta—w miarę zebrania środków.

— Rada zarządzająca kolei Wiedeńskiej udzieliła bezpłatne bilety na przejazd do Ciechocinka dla 40-tu sierot, zostających pod opieką warszawskiego Towarzystwa dobroczynności.

Szkoły. Specyalna komisya przy ministeryum oświaty opracowała projekt reformy gimnazyów żeńskich. Kurs matematyki (szczególnie algebry) będzie skrócony, a natomiast ilość godzin języka ruskiego powiększona. Z języków obcych jeden będzie obowiązujący, francuski albo niemiecki. Wykład nauk przyrodniczych ma obowiązywać w klasach średnich i niższych, wreszcie zwrócono szczególną uwagę na wykład robót ręcznych. Świadectwo z ukończenia siedmiu klas gimnazyalnych upoważniać będzie jedynie do nauczania w charakterze guwernantek domowych. Świadectwo na nauczycielkę początkową, upoważniające do wykładu w szkołach żeńskich, postanowiono wydawać tylko tym osobom, które oprócz ukończenia gimnazyum przejdą kurs klas pedagogicznych.

— Przy uniwersytecie moskiewskim utworzono nowe muzeum newralgiczne, dla ułatwienia nauki systemu nerwowego w różnych objawach.

— *Nowości* dowiadują się, iż projektowana jest następująca reforma egzaminów wstępnych do gimnazyów. Kandydaci do wszystkich klas bez wyjątku mogą składać egzamin na równi z uczniami szkoły w terminie egzaminacyjnym na wiosnę. Niezłożenie egzaminu w tym okresie nie przeszkadza kandydatowi składać go powtórnie w jesieni.

— Austryackie ministeryum oświaty zatwierdziło projekt budowy przy uniwersytecie w Krakowie: zakładu patologicznego wraz z fizyologicznym i farmakologicznym tudzież — medycyny sądowej.

— Ogłoszono przepisy nauczania praktykantów dentystycznych. Utrzymywać mogą pewną liczbę uczniów tylko znani dentyści, stosownie do liczby pacyentów i uznania miejscowego inspektora lekarskiego. Przyjmowani są młodzieńcy najmniej 17-letni. Po wydaniu świadectwa o trzyletniej praktyce, urząd lekarski deleguje komisyę, złożoną z lekarzy i dentystów, dla sprawdzenia stopnia uzdolnień kandydata. Przystępujący do takiego egzaminu składają rs. 5, jako wynagrodzenie dla dentystów za materyały zużyte. Gdzie niema szkół dentystycznych, egzamin odbywa się w mieszkaniu dentysty, członka komisyi egzaminacyjnej. Świadectwo uzdolnienia, zatwierdzone przez urząd lekarski, daje praktykantowi prawo zdawania egzaminu w uniwersytecie na wydziale lekarskim, lub w Akademii wojskowo-medycznej. W razie niepowodzenia, kandydat może być egzaminowany powtórnie po upływie pół roku. Po dwukrotnem niepowodzeniu traci zupełnie prawo do egzaminu. Urząd lekarski może dopuszczać do egzaminu kandydatów przybyłych z innych gubernij, o ile posiadają świadectwa o odbyciu praktyki trzyletniej.

Sprawy kolejowe. W drugiej połowie sierpnia odbędzie się międzynarodowy kongres kolejowy w Petersburgu i potrwa osiem dni.

— *Mosk. Wied.* piszą: „Władze zajmują się obecnie sprawą wydawania zapomóg osobom uwolnionym ze służby z powodu przejścia kolei prywatnych na rzecz skarbu, lub rządowych pod kierunek towarzystw prywatnych i wreszcie przy zmianie etatów, wynikającej z połączenia kilku kolei rządowych w jedną.

— Ministeryum komunikacyi uzyskało kredyt (milion rubli) na nabycie ośmiokołowych lokomotyw towarowych.

— Główne Towarzystwo kolei ruskich otrzymuje zapomogę rządową (61,000 rs.) na rozszerzenie lokalów stacyjnych na przestrzeni Białystok-Warszawa.

— *Kuryer warsz.* dowiaduje się z Petersburga, iż kasa zjednoczenia kolei Terespolskiej w tych dniach ma być zamknięta. Przy likwidacyi uwzględnione będą przedewszystkiem interesy emerytów. Uczestnicy otrzymują zwrot wniesionych składek bez procentów.

— Naczelnik okręgu pocztowo-telegraficznego zawiadomił tutejsze zarządy kolejowe, iż do przewozu poczt mogą być używane tylko te wagony, których bezpieczeństwo będzie poświadczone przez specyalnych urzędników okręgu.

— *Kuryer warsz.* dowiaduje się, iż zarząd kolei Terespolskiej pozostanie nadal w Warszawie. Obowiązki naczelnika zarządu obejmie inżenier Glazenap. Wydział handlowy zniesiony będzie z dn. 12 czerwca.

— Dotychczas na kolei Nadwiślańskiej pociągi gospodarcze obsługiwało po kilku konduktorów etatowych. Obecnie zarząd wydał rozporządzenie, aby wyznaczono tylko po jednym konduktorze i jednym smarowniku etatowym, resztę służby należy dopełniać z „wolnonajemnych" na dniówkę.

— Prawie wszyscy urzędnicy dyrekcyi kolei państwowych w Austryi wnieśli podanie o ulgi w godzinach pracy, tak iżby raz na dzień tylko uczęszczali do biura i zajęci byli od 8-ej rano do 3-ej po południu.

Wystawy i Zjazdy. W Pradze czeskiej otwarto olbrzymią wystawę afrykańską dr. Emila Holuba.

— W grudniu r. b. otwarty będzie pierwszy zjazd budowniczych ruskich, połączony z wystawą budownictwa.

Rozporządzenia rządowe. Wobec znacznego rozwoju przemytnictwa w kraju zachodnim, władze postanowiły, że osoby którym dowiedziono, iż się tem trudnią, będą zmuszane do sprzedania swego majątku w ciągu sześciu miesięcy i przesiedlenia się do jednej z wewnętrznych gubernij państwa.

— *Prawit. Wiest.* w dziale rozporządzeń prasowych donosi, iż wydawca *Gazety przemysłowo-rzemieślniczej*, Aleksander Makowiecki, odstąpił praw swoich do wydawnictwa magistrowi nauk przyrodzonych, Józefowi Leskiemu. Jednocześnie zarząd prasy donosi, iż koncesya na *Tygodnik powszechny* (po upływie terminu przepisanego) niema już znaczenia.

Dobroczynność publiczna. Dzięki staraniom i ofiarności p. H. Konstadta, kupca, ludność żydowska w Łodzi otrzyma nowy zakład dobroczynny, „dom starców," który pomieści sto osób, pozbawionych przytułku.

Konkursy. Akademia wojenno lekarska w Petersburgu ogłosiła konkurs na napisanie dzieła oryginalnego w zakresie: 1) anatomii ogólnej, 2) anatomii opisowej człowieka zdrowego, 3) anatomii patologicznej, 4) porównawczej, 5) topograficznej. Mogą przyjąć udział wszyscy lekarze oprócz cudzoziemców i członków Akademii. Nagroda 5,000 rs. Autor otrzyma połowę tej sumy, resztę wypłaci Akademia po wydrukowaniu dzieła i otrzymaniu 10 egzemplarzy.

— Komitet przyszłej wystawy straży ogniowych w Petersburgu ogłasza konkurs z nagrodą 100 rs. za najlepszą sikawkę lub pompę wyrobu krajowego. Między wielu innymi warunkami sikawka powinna być tania i trwała obok prostoty urządzenia. Cena z wszystkimi przyborami nie powinna być wyższa nad 225 rs.

Bibliografia. Gurney, Meyers i Podmore, *Dziwy życia.* tł. J. K.Potocki, zesz. I, Warszawa, Gebethner i Wolff.

— L. Jąstrzębowski, *Rachunki praktyczne ziemianina*, str. 95 i tablice, Warszawa.

— S. Krusiński, *Szkice ekonomiczne i filozoficzne*, str. 183, Warszawa.

— *Pamiętnik fizyograficzny*, wydaw. przez A. Słosarskiego i B. Znatowicza, tom XI, Warszawa.

— Józef Waśniewski (Duduś) *Bajki i fraszki*, Warszawa, M. Wołowski.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Waletowi. Częściowo zużytkujemy.

Er-a. Nie znaleźliśmy w obu obrazkach ani świeżych pomysłów, ani artystycznego opracowania.

P. Izyd. H. Takie wypracowania jeszcze do literatury nie należą.

P. Wik. Rad. Nie.

Uwaga. Redakcya rękopisów nie odsyła i tylko zastrzeżone do zwrotu przechowuje.

Gustaw Eisenman, ur. w Warszawie, umarł dnia 9 kwietnia w Meranie. Nie miał on żadnego tytułu naukowego, próbował jednak sił swych na polu literatury przekładowej i w niedługiem swem życiu — umarł bowiem mając zaledwie lat 18 — zdołał zaskarbić sobie dużą sympatyę zapałem i bezinteresownością, z jakiemi popierał sprawy umysłowe kraju.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Prenumeratorzy PRAWDY otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою, Варшава 24 Апрѣля 1892 г. Redaktor i Wydawca dr. fil. **A. Świętochowski.**